


HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2021/2

magazynhisteria.pl



ATAK NA FORT EPIAN
DRUGA ZMIANA
DZIEŁO UMYŚLU
FANTOM
GOLEMIADA
HOTEL ADLER
KULKI
NEMO
NIEWIDZIALNI
OSTATNIA PROSTA

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
ATAK NA FORT EPIAN	Paweł Dybała	5
DRUGA ZMIANA	Marcin Bartosz Łukasiewicz	15
DZIEŁO UMYSŁU	Daniel Kurowski	28
FANTOM	Sergiusz Kołowrotny	45
GOLEMIADA	Tadeusz Oszubski	50
HOTEL ADLER	Camille Gale	63
KULKI	Maurycy Janota	76
NEMO	Adrian Iwaniak	84
NIEWIDZIALNI	Łukasz Rządkowski	93
OSTATNIA PROSTA	Jarosław Adam Pankowski	100

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska Zvyrke

Korekta: Joanna Korytko, Anna Wojciechowska,

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami marcowo-rocznicowa Histeria, czyli 43. numer naszego magazynu, który w tym miesiącu obchodzi 7. urodziny. Ale ten czas zleciał! W środku znajduje się dziesięć opowiadań grozy i tyle samo niepokojących ilustracji, które mamy nadzieję, że przypadną Wam do gustu tak jak nam.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad majowym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



ATAK NA FORT EPIAN

Paweł Dybała

– „Czarni to głupie półklawisze” – odczytał c^3 , wpatrując się w niechlujny napis na murze.

– Sierzancie! – W głosie kapitana d^2 zabrzmiały potępieńcze nuty.

– Co panu poradzę, tak właśnie tu nabazgrali.

– To poradzicie, że nie musicie tego czytać na głos – wycedził d². – Albo przynajmniej sparafrazować na „isowcy”. Proszę się nie zapominać. I ani słowa o poprawności politycznej! – uprzedził podwładnego, który już otwierał usta, by coś wtrącić. – Obecna polityka góry jest jasna: zero tolerancji dla skalizmu. Proszę więc wziąć na wstrzymanie, bo ostatnim, czego w tej chwili potrzebujemy, są takie skaldale.

– A pierwszym? – zainteresował się sierżant.

– Co: pierwszym?

– Co jest pierwszym, czego potrzebujemy?

– Święty spokój – westchnął kapitan.

Sierżant nie mógł nie przyznać mu racji. Od dobrych kilku miesięcy życie w Forcie toczyło się coraz bardziej niepokojącą melodią. Nie potrafił powiedzieć, kiedy w monotonię codziennych taktów zaczęły wkradać się pierwsze, zwiastujące zmianę nuty. Gdy je usłyszał, tworzyły już całe frazy. Pamiętał niedawne wystąpienie A₂, jednego z rządzącej fortem Trójcy Klawiszy Subkontry. Przywódca de facto publicznie poniżył Ais₂, reprezentującego we władzach isowców, czyli klawisze czarne. Ten nie pozostał dłużny, zarzucając współrządcemu skalizm i niechęć białych do czarnych. Tak właśnie to ujął, co skwapliwie podchwyciły obie strony konfliktu. Tak, konfliktu. W niego właśnie układały się owe niepokojące dźwięki.

Wkrótce patrole w twierdzy, dotąd przeprowadzane wspólnie przez klawisze obu kolorów, zostały rozdzielone. Górne partie fortu, zamieszkane przez isowców, oddano pod ich jurysdykcję. Dolnymi zajęli się literkowcy. Ais₂ coraz częściej wspominał o konieczności utworzenia enklawy isowej, zaś jego zwolennicy ukuli nawet termin „Front wyzwolenia czarnych”. Autoironicznie. Irytująco. Sprytnie.

c³ robił w dochodzeniówce nie od wczoraj, acz miał nadzieję, że co najwyżej do jutra, metaforycznego. Widział niejedno, w tym rzeczy, które na wiele nocy spędziły mu sen z powiek. Wystarczyło, by miał co wspominać na zbliżającej się wielkimi krokami emeryturze. Do niedawna myślał, że nic już go nie zaskoczy.

Ziewnął przeciągle i niezbyt dyskretnie. Ostatnio wiecznie był niewyspany. Do tego brzęczało mu w uszach. Starość.

– Hej, mała! Naprawdę nic nie widziałaś? – Kapitan zwrócił się do stojącego nieopodal, nieco umorusanego dzieciaka o chudych, tykowatych nogach. – Nie domyślasz się, kto mógł to nabazgrać?

– E tam, czy to ważne? – Wzruszyła ramionami zapytana i skrzywiła się, jakby coś ją nagle zabolalo. – Kto by się takimi bazgrołami przejmował.

– Dobra, dobra, c⁵ – wtrącił się c³. – Jeśli ktoś w okolicy coś wie, to ty. A tak w ogóle to cześć.

– Cześć, panie sierżant. Ale paskudnie pan wyglądasz. Jeszcze gorzej niż zwykle.

– Dzięki. To jak, masz pojęcie, czyja to robota?

– Może tak, może nie – rzekła smętnie dziewczynka, wyjątkowo bez swego zadziornego tonu fortowej zawiadaczki, powszechnie lubianej sieroty z oktawy pięciokreślnej. – Nie mam teraz do tego głowy. Nikt nie ma. Nie wiesz pan, o czym się teraz mówi w Forcie?

– Niech zgadnę. O czerwonych widmach.

Mała wzdrygnęła się.

– Na Kompozytora, znowu te brednie? – Kapitan skrzywił się. – Dziecko, przecież to zwykła fortowa legenda, nic poza tym!

– Ja też tak myślałam – zniżyła głos⁵. – Byłam pewna, że to tylko klawisze fałszują, co im ślina na język przyniesie. Jeszcze do przedwczoraj...

d² chciał machnąć ręką ze zniecierpliwieniem, ale sierżant powstrzymał go gestem.

– Chwileczkę. Co się stało przedwczoraj?

– Szłam sobie do szkoły jak gdyby nigdy nic, jak codziennie... – Klawiszka już niemal szeptała. Jej utyłane czymś tłustym oblicze pobladło. – Nagle zrobiło się jakby ciemniej, a gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam dwa ogromne jasnoczerwone kształty... Wisiały w powietrzu bez ruchu, a potem... Potem zaczęły na mnie opadać... Chciałam uciekać, ale nie mogłam, nie potrafiłam... Skuliłam się tylko, zamknęłam oczy, a wtedy... Wtedy... – Zaczęła się trząść.

– Co wtedy? – Sierżant nadstawił uszu, ignorując ponaglącą gestykulację przełożonego.

– Poczułam, jak mnie dotknęły. – Szept stał się ledwie słyszalny.

– Dobra, dość tych bzdur. Idziemy! – zakomenderował kapitan. – I żebyś nie musiał tu wracać w sprawie kolejnych skalistowskich incydentów! – Nie czekając na podwładnego, odwrócił się i ruszył w drogę powrotną do posterunku.

Gdy c³ zjawił się tam dobry kwadrans po nim, przełożony spiorunował go wzrokiem.

– Naprawdę muszę wam to ponownie tłumaczyć? – wycedził.

– Nie. – Sierżant ruszył ku swojej kanciapie. – Nie musi pan.

– Świetnie – warknął d². – W takim razie zapamiętajcie jedno: jeszcze raz usłyszę o jakichś kretyńskich widmach i innych tego typu idiotyzmach, a wylądujecie w oddziale czynnej pacyfikacji skalistów! I umyćcie się, do kroćset taktów, bo patrzeć na was nie można!

c³kiwnął zdawkowo głową, skonstatował, że dawno nie patrzył w lustro i wcale nie ma na to ochoty, doczłapał do swojego biurka i pogrążył się w rozmyślaniach.

Czerwone widma. Nie od razu tak je nazwano. Pierwsze doniesienia, te sprzed trzech tygodni, którym sierżant nie dawał jeszcze wiary, mówiły o nieokreślonych kształtach, cieniach na niebie. Niektóre znikwały równie szybko, jak się pojawiły, inne wisiały bądź kołysały się nad Fortem przez kilka chwil, które przerażonym klawiszom zdawały się wiecznością. Dopiero któryś z kolejnych świadków, młody, przerażony isowiec, z wrodzoną jego skali wrażliwością, opisał je jako obłe, niepokojąco zwinne, czerwone zjawy. Wkrótce cały Fort huczał od plotek o czerwonych widmach.

Sierżant c³ nie był zbyt przesądny. Za dużo jednak widział, że zbyt wieloma klawiszami rozmawiał w ciągu wieloletniej służby, by nie umieć rozpoznać, gdy ktoś nie wierzy w to, co mówi. Ci, którzy opowiadali o widmach, wierzyli. Emanował od nich autentyczny, niemal pierwotny strach.

Coś krążyło nad Fortem. Coś dziwnego, nieuchwytnego. Coś, być może, groźniejszego nawet od coraz głośniejszej melodii konfliktu na tle skalowym. I choć, jako się rzekło, sierżant do przesądnych nie należał, nie mógł pozbyć się niepokoju, który zasiały w nim słowa c⁵.

– *U nas w dzielnicy mówią, że to kara za zadawanie się z isowcami, ale ja... ja, panie sierżant, myślę, że te cienie to zupełnie co innego.*

– *Czyli co?*

– *Trzecia skala – wysyczała szeptem klawiszka.*

Odżyły wspomnienia z dzieciństwa. Choć dawno przestał wierzyć w cokolwiek innego niż tu i teraz, wciąż potrafił wyrecytować tekst Wielkiej Kompozycji, przepowiedni, której uczono wszystkich młodych mieszkańców Fortu Epian. Niezrozumiały, wymagający wyjaśnień, uproszczeń. Interpretacji. Najpopularniejsza z nich, ta, o której uczono w szkołach, zwiastowała przełamanie fortowego duopolu klawiszy literkowych i isowych oraz pojawienie się nowej, trzeciej skali. Klawiszy koloru innego niż biały i czarny. Takich, które sprawiają, że dopiero wtedy zabrzmiała prawdziwa muzyka. c³ przymknął oczy, a w jego głowie pojawił się tekst:

*Gdy blaskiem czerwieni rozblyszną niebios
Rozebrzmi wraz zbielą czerń
Melodia prawdziwa świat poruszy z posad
Trio spłynie jak jedna pieśń.*

– Bardzo ładnie. – Wyrwał go z zamyślenia szyderczy głos. – Wybierasz się na szkolną akademię czy na starość postanowiłeś zostać kaznodzieją?

gis⁴, niedawno awansowana na porucznika ciemniejsza połowa ich duetu, siedziała na krawędzi biurka z nieodłącznym kubkiem kawy i uśmiechała się irytująco.

– A może znudziło ci się ściganie skalistowskich graficiarzy? Pokaż no, co tam skrobiesz? – Bezceremonialnie wyrwała mu kartkę, którą najwidoczniej musiał zabazgrać podczas rozmyślań. – „Czerwone widma”, „cienie”, „dotyk”... Chłopie, mało ci ochrzanu od starego? – Jej śmiech jeszcze bardziej działał mu na nerwy niż samo gadanie. – Potrzebne ci to tuż przed emeryturą? Zaraz, co? – Jej wzrok padł na spód kartki. – „Trzecia skala”? Legendy ci się pomieszały czy jak?

– Zejdź ze mnie, co? – mruknął c³ i ziewnął przeraźliwie. Po pierwsze, na potrzeby relacji z tą złośliwą bestią, czy raczej w nadziei na ich rychłe zakończenie. Po drugie zaś, żeby wreszcie pozbyć się natrętnego brzęczenia w uszach. W obu przypadkach bezskutecznie.

– Zająłbyś się lepiej skargami obywatelskimi. – gis⁴ założyła nogę na nogę. – Zdaje się, że masz ich do przejrzania jakiś milion. Z czego pewnie większość wpisuje się we wzór „Uprzejmie donoszę, że sąsiad mój, literkowiec, sprzyja rewolucji czarnych”. Hej! Panie sierżant! Słuchasz mnie pan!?

c³ słuchał, ale nie słyszał. Ścisnął dłońmi skronie i przymknął oczy w irracjonalnej nadziei, że pozbędzie się narastającego dźwięku. Właśnie, dźwięku. Tonu. To nie było brzęczenie. Brzmiało... inaczej. Melodyjniej.

– Nie, wiesz co, olej to, co mówiłam. Wracaj do domu, prześpij się czy coś. – gis⁴ spojrzała na niego z chyba autentycznym zatroskaniem. – Wyglądasz jak isowiec w depresji i owszem, mówię to autoironicznie i autoskalistowsko.

– Nie... – wymamrotał sierżant. – Masz rację z tymi skargami... Muszę...

– Nic nie musisz – zakomenderowała kategorycznie porucznik. – Za to ja muszę. Odprowadzić cię do domu. Rusz tyłek, staruszk. Idziemy.

Jak przez mgłę usłyszał, jak gis⁴ wyjaśnia coś kapitanowi. Wsparty na jej ramieniu, wytoczył się na zewnątrz. Powiew świeżego powietrza sprawił, że w pewnym, choć niewielkim stopniu, odzyskał jasność umysłu.

– Ja... ja sam... – Ziewnął, a jego świat nagle rozsadził dźwięk. Ten sam, tylko mocniejszy. Wszechobecny.

– Aha, widzę, jak sam. – Porucznik zarzuciła sobie jego ramię na plecy. – Co ty, dziadku, spać przestałeś czy jak?

– Tak... – Szli wolno, krok za krokiem. – Powiedzmy, że przestałem...

Nie przestał. Problem polegał na tym, że wręcz przeciwnie.

Od kilku nocy, gdy tylko zapadał w sen, widział kształty. Cienie. Przesłaniające niebo smugi, zabarwione jasną, nieco wyblakłą czerwienią. Widma. Kładł to na karb dziwnej obsesji, w którą, był skłonny to przyznać, przeradzało się jego zainteresowanie krążącymi w Forcie plotkami. Obiecywał sobie, że przestanie, że odpuści. Wmawiał, że kapitan ma rację, że to tylko durne opowieści. Na próżno.

Gdy niemal zawleczony przez gis⁴, doczłapał wreszcie do domu i zwałił się na łóżko, natychmiast zasnął, ale dźwięk nie ucichł. Właściwie to o nim śnił. O dźwięku oraz o kształtach. Wraz z melodyjnym brzmieniem nadciągały nad całą jego świadomość, przytłaczały. Dusily.

W jedynym momencie podświadomej trzeźwości w tej feerii impresji – a może już na jawie? – dzwignął się z łóżka, wiedziony niewytłumaczalnym instynktem, i postanowił wreszcie spojrzeć w lustro.

Zamiast bieli kości słoniowej ujrzał czerwień.

Wtedy łupnęło. Raz, drugi, trzeci, zupełnie jakby coś próbowało okiełznać rytmem wszechobecne brzmienie. Przyspieszyło. Jeszcze bardziej. Pod czaszkę, przez zasłonę dźwięku, wdarł się wysoki głos.

– c³! Otwieraj! Jesteś tam, do diaska!?

Zataczając się, podszedł do drzwi. Łupanie ustało dopiero, gdy zaczął grzebać przy zamku, mrużąc oczy od sączącego się przez okno porannego światła.

– Na Kompozytora, dłużej się nie dało!?! – gis⁴ wparowała do mieszkania jak burza. – Myślałam, że wyzionąłeś ducha, co nie byłoby takie dziwne, zważywszy że wczoraj wyglądałeś jak strzęp klawisza. – Omiotła go taksującym spojrzeniem. – I widzę, że konsekwentnie trzymasz się nowej stylówki, z gustownym dodatkiem czerwieni. Zapytałabym, jak się czujesz, ale nie ma czasu. Zbieraj się.

– Dokąd? – wymamrotał, usiłując zebrać rozproszoną świadomość.

– Na posterunek – rzuciła krótko. – Subkontra ogłosiła powszechną mobilizację, nawet klawiszy cywilnych. Mamy alert pierwszego stopnia.

– Co się stało? – c^3 poczuł przypływ trzeźwości, który najpewniej zawdzięczał wypracowanym przez lata instyktom pracownika służb mundurowych.

– Wygląda na to – gis^4 spojrzała na niego bez cienia uśmiechu – że miałeś rację.

Zanim dotarł do niego możliwy sens jej słów, w pokoju pociemniało. Poczzerwieniało.

Wybiegł na zewnątrz, pewien, że wie, co zobaczy. Nie mylił się. Niebo przesłaniały znajome podłużne, jasnoczerwone kształty.

Wpatrując się w nie w bezruchu, pojął sens tego, co pomyślał. Tak. Znajome.

Jedno z widm zaczęło opadać prosto na niego, a on chciał jak zwykle skulić się w sobie, gdy dostrzegł wybiegającą za nim gis^4 . Zamarła na widok opadającego na nią widma. c^3 rzucił się do niej z niemym krzykiem.

Zabrzmiało. Znajomo, choć jeszcze głośniejsze, jeszcze natrętniej niż dotąd, niemal rozsadzając otaczający go świat mocą dźwięku. Nadkławiszowym wysiłkiem trzymając się rzeczywistości, pomógł wstać otumanionej porucznik i pociągnął ją, zmuszając do biegu. Przez chwilę gratulował sobie w duchu, że przynajmniej zdołał ją ochronić, jednak jedno pytanie zdusiło tę radość w zarodku.

– Ty też to słyszysz...!? – wyrzęziła gis^4 .

– Cały czas – odrzęził, kątem oka zauważając, że głęboka czerń partnerki miejscami zaczęła przeradzać się w czerwień.

Słaniając się, biegli ku posterunkowi. Wiszące nad Fortem widma co rusz opadały w akompaniamencie przeraźliwych, niemal niekławiszowych wrzasków. Sierżant próbował policzyć te obłe kształty, jednak nie zdołał. Wiedział jedno: było ich więcej niż w ciągu ostatnich nocy.

Wokół posterunku roило się od funkcjonariuszy. Niektórzy, z obłędem w oczach i cierpieniem wypisanym na twarzy, oczekali czerwieni.

– Wszyscy na mury! – ryknął ktoś. – Na rozkaz Subkontry!

c^3 i gis^4 ruszyli wraz z tłumem, pełznącym w dziwacznym, chaotycznym rytmie ku fortowym murom. Isowcy i literkowcy z różnych oktaw, wymieszani, przerażeni, oszołomieni, parli przed siebie pulsującą dźwiękiem i ruchem masą. Co kilka kroków niebo pochłaniała widmowa czerwień, której akompaniował rozpaczliwy, pełen bólu krzyk – lub upiorna cisza. Biegli jednak naprzód, a cel był coraz bliżej.

– Tutaj! – rozległo się donośne wołanie. c^3 spojrzał ku górze.

Na murach Fortu Epian, w imponującym bojowym szeregu, stały klawisze. Miejsce najbardziej po lewej zajęła Subkontra. Pomiędzy dumnie wyprężonymi A_2 i H_2 lśnił czernią Ais_2 , sprawiając, że Trójca prezentowała się tak, jak przystało na dowództwo. Godnie. Dostojnie. Wspólnie.

Na prawo od nich stanęły kolejno oktawy: kontra, wielka, mała, a za nimi kreślne. A gdy przybyłe, słaniające się ze zmęczenia klawisze zapędzono w ich miejsca do szeregu, c^3 pojął, skąd wzięło się wzruszenie, które od kilku chwil odbierało mu mowę.

Klawisze trwały w idealnym porządku. Białe przeplatane czarnymi, isowcy obok literkowców, i choć na wielu znać było szkarłatne ślady, widok ten paraliżował piękną, dualistyczną harmonią. A kiedy stojący obok c^3 isowiec zachwiał się, ledwo zachowując przytomność, sąsiedni klawisz literkowy natychmiast podtrzymał go ramieniem. Nieopodal, po lewej, sierżant ujrzał wyciągniętego jak strunę kapitana. Gdy spojrział w prawo, jego wzrok napotkał zmęczone spojrzenie gis^4 . Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział tym samym.

Załoga Fortu Epian stała na murach, zwarta i gotowa do walki z dryfującymi po niebie czerwonymi widmami.

– Klawisze! – Niski, majestatyczny głos H_2 wypełnił ciszę swoim brzmieniem. Sierżant zauważył, że i na obliczu dowódcy widniały czerwone plamy. – Stoimy tu, dźwięk w dźwięk, oktawa w oktawę, by dać odpór najpoważniejszemu zagrożeniu w historii Fortu Epian. W dniu dzisiejszym, w godzinach porannych, przybyłe z zewnątrz siły wroga dopuściły się bestialskiego ataku na fortową władzę, naruszając nietykalność Subkontry. Nie pozostaje nam nic innego, jak uznać ten akt za otwarte wypowiedzenie wojny!

Ogłuszający wrzask dziesiątek klawiszy złączył się w jedno, buzujące, niosące się nad Fortem dźwiękowisko.

– Niektórzy z was – głos A_2 wibrował lekko niskimi nutami – twierdzą, że to spełnienie przepowiedni. Że nadszedł czas, w którym urzeczywistni się Wielka Kompozycja. Być może. Nie mnie oceniać czyjaś wiarę. Wiem natomiast jedno: jeżeli przybycie do Fortu tej enigmatycznej Trzeciej Skali wymaga ofiar wśród naszych klawiszy, nie ma i nie będzie na to zgody!

– Wszystkie oktawy dla wspólnej sprawy! – zawtórował jej Ais_2 .

Dźwięki wybuchły nawałnicą ekstatycznych tonów.

I wtedy, gdy szereg klawiszy nadal wiwatował, gdy literkowcy z isowcami współbrzmieili zgodnie w bojowych okrzykach, jedno z majaczących w oddali czerwonych widm zbliżyło się nagle. I uderzyło.

Przez spowite brzmieniem oktawy, poczawszy od prawego krańca szeregu, przetoczyła się fala ciszy.

c^3 z niedowierzaniem patrzył, jak stojąca dumnie c^5 osuwa się na czarny kamień muru, jak cienkie nóżki odmawiają posłuszeństwa. Jak w aż nadto znajomym geście obejmuje głowę ramionami w rozpaczliwym paroksyzmie bólu.

Na moment świat się zatrzymał.

– Trzymać szyk! – Wrzask H_2 znowu wprowadził go w ruch. – Nadchodzą!

Zanim rozbrzmiały ostatnie takty, widma uderzyły ponownie. Raz, drugi, trzeci. Kolejny. Z niemal wyczuwalną furią smagały kolejne klawisze. Po każdym ciosie ktoś padał, niczym wgnieciony w zimny kamień muru – i zaraz wstawał, wsparty na ramionach sąsiadów.

Widma napierały, jednak Fort Epian wciąż walczył.

– *Dość tego!* – Nagle rzeczywistość przeszył wysoki, wibrujący w uszach głos.

Widma błyskawicznie wycofały się za horyzont.

– *Po pierwsze, tyle razy powtarzałam: myć ręce przed graniem!* – wibrowało wciąż gniewem i pretensją. – *Po drugie, jeszcze raz przyłapię cię na kradzieży konfitury z wiśni, a popamiętasz! A po trzecie...*

Nad Fortem zapadła niemal idealna cisza, przerywana tylko przez kilka donośnych stuknięć.

– *Po trzecie, najwyższy czas, bym pokazała ci, jak to się robi.*

Bez najmniejszego ostrzeżenia nad Fortem znów pojawiły się widma – tym razem jednak o wiele, wiele większe. Ogromne, szybkie. Przerażająco szybkie.

c^3 zdążył tylko zamknąć oczy, przygotowując się na nieuchronny koniec. Świadomości. Istnienia. Świata, jaki znał.

I koniec taki w istocie nastąpił, zarazem stając się początkiem.

Z pełnej przerażenia nicości wyłonił się dźwięk. Najpierw jego własny, tak dobrze znany, tym razem jednak nie rozsadzający czaszki natrętnym chaosem. Inny. Harmonijny. Idealnie współbrzmiający z pozostałymi. Do c^3 dotarło, że przestał być pojedynczym klawiszem. Stał się częścią całości.

Widma nie atakowały klawiszy z Fortu Epian. Muskały je tylko, ledwo zauważalnie, sprawiając jednak, że płynące z nich dźwięki układały się w piękny, wymykający wszelkiemu pojęciu ciąg. Nie tylko w melodię. W prawdziwą muzykę.

Klawisze czarne i białe wszystkich oktaw zdawały się odgrywać istotną rolę w tej kompozycji nowego, ulotnego bytu.

Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki, a czerwone widma zniknęły z nieba nad Fortem, rozległo się kilka rytmicznych wystrzałów.

– *Brawo, mamo!* – rozległ się głos. – *Ja też tak chcę!*

– *Idź zatem umyj ręce. Cała klawiatura umorusana, aż mi się palce lepią. To doprawdy karygodne, by tak traktować instrument. Fortepian, mój drogi, to świętość!*

Po serii cichnących tupnięć ponownie nastąpiła cisza, przzerwana tylko przez ten sam wysoki głos, tym razem zabarwiony niechęcią, wręcz odrazą.

– *Ideal sięgnął bruku.*



rys. Zvyrke

DRUGA ZMIANA

Marcin Bartosz Łukasiewicz

Praca na drugą zmianę to coś, czego naprawdę, ale tak naprawdę nienawidzę.

Jasne, moja firma jest w porządku. Lubię tam być, robię coś, w czym jestem dobra, i dostaję za to przyzwoite pieniądze. Tylko ten system zmianowy... to, że co dwa tygodnie muszę przestawiać sobie dobę, żeby jakoś żyć, to koszmarnie męcząca rzecz.

Ale trudno. Rzadko bywa idealnie, prawda?

Nie powiedziałam jeszcze, czego najbardziej nie cierpię w kończeniu pracy równo o północy.

Noc wyzwala w ludziach najgorsze instynkty. Ktoś, kto w świetle dnia nigdy nie odważyłby się okraść, napaść lub skrzywdzić innych ludzi, w nocy może działać swobodnie. Tak, wiem: mamy policję, monitoring i przechodniów, którzy na pewno przyjdą z pomocą,

kiedy tylko usłyszą krzyk. Ale przeczytałam wiele historii o tym, że policja dotarła na miejsce godzinę po wezwaniu, przechodnie wypięli się na histeryczne wrzaski, a kamery – nawet jeśli działały – miały zbyt słabą jakość, żeby pomóc w ustaleniu tożsamości napastników.

Kiedy pracuję na pierwszą zmianę, wracam do domu autobusem. Co prawda trwa to dość długo, ale wykorzystanie auta wcale nie przyspieszyłoby podróży. W nocy jestem zmuszona prosić o pomoc mojego narzeczonego. Siedziba firmy jest dość daleko od mojego domu, cóż zrobić. Nie zaryzykuję wyprawy na rowerze po ciemku, szczególnie że po prostu się boję. Prawa jazdy nie mam, komunikacji po zmroku nie ufam. Dlatego w grę wchodzi tylko samochód.

Każdego dnia... no, właściwie to każdej nocy, kiedy kończę drugą zmianę, wychodzę przed budynek, w którym pracuję. Zwykle jest jakoś pięć, może sześć po północy. Mój narzeczony czeka na mnie w aucie, ziewając szeroko. Wsiadam, zawozi mnie do domu i cała historia się kończy. Raz zdarzyło się, że konkretnie się spóźnił – wtedy umówiliśmy się, żeby przyjeżdżał nieco wcześniej, o równej godzinie. Chociaż parking na tyłach firmy jest raczej bezpiecznym miejscem, to po prostu boję się tam stać i czekać po ciemku. Dlatego zawsze, kiedy wychodzę, on jest już na miejscu.

Co prawda ze dwa razy zasnął i musiałam wracać sama, ale po awanturach, które wtedy wywołałam... No, myślę, że już mu się to nie zdarzy.

Tego dnia samo wyjście nieco mi się przedłużyło. W końcu patrzę na zdychający telefon. Kwadrans po.

Szlag.

Chociaż narzeczony nie dzwonił, to pewnie jest już lekko poirytowany tym, że musi czekać. Zbiegam po schodach na dół, szybko zakładając płaszcz. Powinnam jeszcze skoczyć do łazienki, ale zamiast tego układam w głowie jakieś oryginalne przeprosiny, bo jesień nie rozpieszcza, a siedzenie po nocy w aucie z zepsutym ogrzewaniem na pewno nie jest przyjemne.

Drzwi zatraskują się za mną, a ja patrzę na parking.

Jest pusty.

No dobrze, nie całkiem pusty, są inne auta. Ale nie to, którego się spodziewam. Nie ma mojego narzeczonego.

Lekka obawa (czekał, zdenerwował się i odjechał?) dość szybko przechodzi w ukłucie lęku, a następnie w złość. Dobrze, może jestem spóźniona, ale to nie powód, żeby mnie tu zostawiać. Co on, do cholery, sobie wyobraża?

Z rosnącą irytacją wyciągam telefon, wybieram numer i dzwonię. Nikt nie odbiera, więc stukam w ekran ponownie. Dwa sygnały później urządzenie świeci, wibruje szaleńczo i umiera. No tak. Bateria. Typowe.

Gniew powoli znika. Zamiast tego pojawia się zimny, spowalniający ruchy i lekko paraliżujący strach. Czuję dreszcze przebiegające po całych plecach.

Ponownie spoglądam przed siebie. Wściekle wyjący wiatr powoduje, że mocniej otulam się płaszczem. Jest trochę za cienki na dzisiejszą pogodę, ale nie planowałam dalszych wypraw na piechotę.

Słabo. Taksówki ani ubera nie zamówię, bo nie mam jak. Do firmy nie wrócę, bo drzwi zatraskowe. Zresztą dzisiaj wyszłam ostatnia.

Dobra, wychodzi na to, że trzeba się ruszyć. Okolica jest nieprzyjemna, ale co mi pozostało? Rzucam jeszcze jedno zalęknione spojrzenie na przepalone lampy. Nie poprawiają sytuacji, ale kiedyś czytałam, że źli ludzie zazwyczaj nie czekają w ciemności w takich *typowych* miejscach. Każdy stara się ich unikać, więc wszyscy ze złymi zamiarami wybierają sobie mniej oczywiste kryjówki.

Może ulicą będzie jechać jakaś wolna taksówka. No, pewnie nie, ale trzeba być dobrej myśli. Ostatecznie mogę złapać nocny do centrum, chociaż to w drugą stronę. Stamtąd powinnam trafić na jakiś kurs do mieszkania.

Niechętnie ruszam. Skulona z zimna idę przez parking. Praktycznie od razu zaczyna padać. Tak, idealny moment, tego jeszcze brakowało. Deszcz jest ciężki i lodowaty. Po sekundzie czuję, że mam mokrą głowę. Pęcherz też daje o sobie znać. Dzisiejszy wieczór pewnie skończę z przeziębieniem. Nie jestem pewna, czy bardziej się boję, czy mam dość tej sytuacji, czy jestem zła. Żeby nie stanąć w miejscu i nie zacząć płakać, myślę o tym, jak w domu narzeczony oberwie. A przecież wiedział, że ma przyjechać...

Kiedy walczę z kolejnymi podmuchami wiatru, które uniemożliwiają mi utrzymanie nad głową torebki, wyczuwam czyjaś obecność. Ułamek sekundy później z ciemności wyłania się jakaś postać. Staję jak wryta, a irytacja ponownie znika bez śladu.

Teraz czuję jedynie panikę.

– Przepraszam, proszę pani? – mówi ktoś. Powiewy wokół zaczynają przypominać huragan. Niski, urywany głos należy chyba do mężczyzny.

Nie jest dobrze, ale milczę.

– Proszę pani?

Stoję w miejscu, wstrzymując oddech. Chyba nie zdążę uciec, zresztą gdzie miałabym biec? Przecież nie w kierunku zamkniętych drzwi, a pozostałą część parkingu blokuje ten facet. Trudno. Zauważył mnie, nie ma po co dalej udawać powietrza.

– Tak? – odpowiadam w końcu. Głos mi lekko drży.

– Pani tu pracuje, prawda?

Jest ciemno, więc nie widzę jego twarzy. Z drugiej strony przez te cholerne lampy mógł się zacciać, podejść do mnie od tyłu i nawet bym nie zauważyła. Zamiast tego zaczął od rozmowy. Chyba nie ma złych zamiarów... albo nie lubi nosić daleko ciał.

– Tak, ale nie przyjmujemy klientów w siedzibie. Proszę jutro zadzwonić – dukam. Strach trzyma mnie mocno za gardło, paraliżuje nogi, spowalnia myślenie.

Mężczyzna śmieje się krótko. Ma to chyba rozładować napięcie, ale powoduje, że jest jeszcze bardziej nieswojo.

– Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu... wygląda pani na lekko zagubioną.

Myśl o złości, nie o lęku. Nie panikuj.

– To chyba nie powinno pana interesować? – pytam, siląc się na niezbyt miły ton.

No, zwycięstwo. Czego on, kurwa, chce? Podchodzi po nocy i jeszcze ze mnie kpi.

Facet podnosi dłonie w przeproszającym geście.

– Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli. Po prostu... widzi pani ten budynek?

Muszę lekko zmrużyć oczy, żeby dostrzec, który konkretnie wskazywał. W końcu uświadamiam sobie, że pokazuje na siedzibę firmy, która znajduje się tuż obok. Po chwili przychodzi do mnie myśl, że pewnie odwraca moją uwagę, a w tym samym czasie ktoś szykuje się, żeby mnie obezwładnić. Rozglądam się nerwowo, próbując dyskretnie wyciągnąć gaz pieprzowy z torebki.

– Tak, ale nie wiem, co to ma do rzeczy – mówię podejrzliwie, gmerając w kopertówce. Jest!

– Pracuję tam. Można powiedzieć, że po sąsiedzku. Nazywam się Piotr. – Mężczyzna wyciąga w moim kierunku rękę.

Moja dłoń w tym samym czasie ściska puszkę z obezwładniaczem. Po chwili wahania wyciągam ją z torebki, chwytam w palce i upewniam się, że niczego nie zauważył. Na wszelki wypadek wolę nie podawać mu ręki.

Atmosfera wcale się przez to nie poprawia. Milczymy. Ja cała w napięciu, on... nie wiem. Chyba czeka na moją odpowiedź.

– Jestem Ania – odpieram w końcu. – Posłuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, to będę już lecieć... Strasznie pada, a mi się spieszy.

– Pewnie, pewnie. Podszedłem, bo nie byłem pewien, czy wszystko w porządku... To nie na ciebie zwykle czeka samochód?

I znów igły strachu. Obserwował mnie?

– Skąd o tym wiesz? – pytam ze zdziwieniem, trochę ostro, a kciuk wędruje do przycisku spustowego na puszcze z gazem.

Piotr wzdryga się, słysząc mój ton.

– Hej, spokojnie, spokojnie... nie mam złych zamiarów. Codziennie kończę koło północy i sam idę na parking. Tam. – Facet pokazuje niedalekie miejsce, rzeczywiście na tyle blisko, żeby mieć dobry widok na moją firmę i jej wyjście.

Przyglądam mu się nieco uważniej. Jedna z lamp zaczęła walczyć, wyrzucając z siebie dyskotekowe rozbłyśki białego światła, które u wrażliwych mogłyby wywołać padaczkę. Wydaje mi się, że faktycznie parę razy widziałam tego typu, jak wchodził do sąsiedniego budynku. Nieco się rozluźniam, ale nadal chowam jedną dłoń za plecami. Lepiej, żeby nie wiedział, że mogę się bronić.

– Tak, zwykle mam transport. Przyjeżdża po mnie narzeczony. Dzisiaj chyba zasnął.

– Próboweś dzwonić?

– Telefon mi padł – mówię, uświadamiając sobie, jaką głupotę właśnie zrobiłam. Ale jest już za późno.

– Potrzebujesz, żeby cię podwieźć?

Cholera.

Piotr nie wygląda groźnie. Jego intencje – do tej pory – nie są złe, ale łądować się z obcym facetem do samochodu...

– Nie, dzięki, jest w porządku. Ale może pożyczyłbyś mi na moment telefon? – ryzykuję.

Mężczyzna bez słowa podaje mi swoją komórkę. Powoli wybieram numer, przypominając sobie kolejne cyfry i dzwonię. Sygnał trwa i trwa, po czym się urywa. Nie odbiera.

– Mogę spróbować jeszcze raz? – pytam.

– Jasne, ale może schowajmy się gdzieś, co? Mój samochód stoi tu, blisko.

Nie czekając na odpowiedź, idzie w stronę auta. Mam w ręce jego telefon, więc niechętnie kieruję się za nim. Na szczęście to jakiś zwykły wóz, a nie typowy morderczy van z zaciemnionymi szybami. Z lekką obawą wsiadam, ale nie zapinam pasa ani nie zamykam drzwi. Tak na wszelki wypadek. Piotr chyba chce coś powiedzieć, ale ponownie dzwonię, odwracając się w drugą stronę.

Krople deszczu atakują dach. Sygnał powtarza się i powtarza, a ja zastygam w oczekiwaniu. Nadal głucho.

– To na nic – mówię w końcu z rezygnacją, oddając telefon.

– W takim razie zapytam jeszcze raz: potrzebujesz podwózki? Naprawdę, to nie problem, trzeba sobie pomagać. Pracujemy obok siebie, może kiedyś mi się odwdzięczycie, jak padnie mi akumulator albo złapię gumę...

Myślę. Facet wygląda normalnie. Póki co nie zrobił nic złego. Pożyczył mi nawet telefon. Ale nadal nie.

– Nie, dzięki, w porządku. Dam radę. Dzięki za telefon. Miłej nocy. Gdyby mój narzeczony do ciebie oddzwonił, powiedz mu, że jego wkurwiona dziewczyna w końcu dotrze. Raczej nie będzie zadowolony.

Piotr musiał wyczuć zdenerwowanie, którym próbowałam nieudolnie przykryć strach. Nie widziała mi się ta podróż w nieznane, ale zbyt wiele złych historii zaczynało się od uczynnego faceta, który chciał po prostu kogoś podwieźć. W każdym razie wysiadam i idę w deszcz oraz ciemność nocy, a on nie oponuje.

Nie jest przyjemnie. Boję się. Widzę przystanek, a na nim kilka roślących postaci w szalikach jakiejś drużyny. Nie wiem nawet jakiej. Zajmują całe miejsce pod dachem, a kolejny autobus pewnie zbyt szybko nie przyjedzie.

Postoję sobie obok, moknąc. Przeżyję. Byle tylko nie zaczepiali...

Jestem już na skraju parkingu, kiedy słyszę krzyk zza pleców:

– Hej, Ania! Poczekaj chwilę!

Przez moment czuję chęć, żeby rzucić się do ucieczki, ale ostatecznie po prostu się odwracam.

Podbiega do mnie Piotr.

– Słuchaj, rozumiem – mówi, dysząc – nie znasz mnie, więc jesteś ostrożna. Rozsądnie. Ale wołałbym jutro nie przeczytać w internecie, że ktoś zadźgał cię na przystanku albo coś... Mam pomysł. Weź to.

W wyciągniętej do mnie dłoni tkwi niewielki, metalowy pojemniczek.

– Co to jest? – pytam zdziwiona.

– Gaz pieprzowy. Żel, właściwie. Jest lepszy, skuteczniejszy, przywiera do skóry. No i możesz go używać przy deszczu czy wietrze. Weź go.

– Dzięki – odpowiadam – ale czemu mi to dajesz...?

– Podwiozę cię, ale poczujesz się bezpieczniej. Masz pewność, że nic nie kombinuję. Trzymaj go cały czas w dłoni i tyle. Gdyby coś się działo, naciśnij tu. – Facet pokazuje, co

robić w razie niebezpieczeństwa. – No, weź i bądź rozsądna. To nie jest najlepsza okolica, żeby łączyć po niej po ciemku. Szczególnie przy takiej pogodzie.

Widząc moje wahanie, Piotr wciska mi w dłoń swój telefon.

– Napisz do swojego narzeczonego, że użytkownik tego numeru – czyli ja – odwozi cię do domu. Przecież nic ci nie zrobię. Będą mieli mój numer, więc musiałbym być kompletnym idiotą, żeby się tak wystawiać.

Z jednej strony mam starą, sprawdzoną zasadę: nie wsiadaj z nieznanym do auta. Z drugiej strony jest zimno i ciemno, pada jak jasna cholera, a do tego ten facet pracuje tuż obok. No i dał mi coś do obrony plus nalegał na tego smsa. Bycie ostrożną to jedno, ale dalsze podejrzenia zakrawały na paranoję.

A poza tym, jeśli się nie zgodzę, to po drodze mogę trafić o wiele, wiele gorzej.

– No, dobra. Dzięki. Ale zachowaj ten żel, mam swój gaz.

Pokazuję mu puszkę, którą ściskam w dłoni od samego początku. Wygląda na lekko zdziwionego.

Idziemy razem do auta. Czuję niepokój, ale próbuję zrationalizować swój wybór. To i tak lepsza opcja niż ten przystanek, autobusy, centrum czy poszukiwanie taksówki. O wiele lepsza.

Wsiadam, wysyłam wiadomość i dopiero wtedy zapinam pas. W mokrej dłoni ściskam mocno gaz.

Piotr wyjeżdża z parkingu, ale zwalnia przed kolejnym skrzyżowaniem.

– Wiesz, wolałbym nie zgadywać, gdzie mieszkasz. Albo ujawniać to, że tak naprawdę to wiem – mówi grobowym, tubalnym tonem.

Patrzy na mnie w napięciu, jak gdyby nie był pewien, że jego żart trafi.

Nie trafił. Chyba zaczynam się trząść.

Widzę, że to zauważył.

– Przepraszam... Hej, Ania, przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć. Idiotą ze mnie. Ja... po prostu zapominam, że nie wszyscy czują się bezpiecznie.

Śmieję się nerwowo.

– W porządku. Prawo, potem w lewo i przez most. Potem cię pokieruję. Jeśli nic nie mówię, to znaczy, że póki co prosto. Dobrze?

– Jasne. Twój narzeczoney często cię tak wystawia?

Wzruszam ramionami, po czym uświadamiam sobie, że kierowca patrzy na drogę, nie na mnie.

– Nie, ale to chyba trzeci czy czwarty raz.

– Martwisz się? – pyta Piotr.

– Gdyby to było coś poważnego, to pewnie by zadzwonił. To znaczy, kiedy jeszcze byłam w pracy, bo teraz to raczej nie odbiorę. – Macham rozładowanym telefonem.

– Pewnie przysnął albo coś.

– Wiesz co, to możliwe, ostatnio był naprawdę zmęczony. Kiedy mam na drugą zmianę, to ma średnio ze snem, bo musi wstać na siódmą. Czasem mu mówię, żeby się zdrzemnął przed wieczorem, ale sam rozumiesz... facet. Mówi mi wtedy, że wyśpi się w grobie.

Mężczyzna za kierownicą chichocze, jak na mój gust nieco zbyt entuzjastycznie.

– To dobre. Chociaż pewnie mógłby się kłaść wcześniej, jakbyście mieli drugie auto?

– Nie, to nie problem. W sensie... brak drugiego wozu. Pewnie byśmy kupili, gdybym miała prawko. Tu w prawo.

Piotr skręca.

– Zawsze możesz zrobić, nie? Pewnie byłoby wygodniej.

– Łatwo ci mówić.

– A próbowałaś?

– Żeby to raz.

– Co, więcej?

Potakuję.

– Ile razy?

– Wolę nie mówić – odpieram, lekko zawstydzona.

– Tak dużo?

– Wiesz co, zostawmy to.

Przez jakiś czas milczymy.

Głupio przyznać, ale czuję, że jeśli za moment nie znajdę łazienki, to po prostu się posikam.

– Piotr...

– Tak?

– Przepraszam, nie chcę nadużywać twojej uprzejmości, ale możesz się zatrzymać na najbliższej stacji?

– Coś się stało? – W głosie mężczyzny czuć zdziwienie.

– Muszę koniecznie skorzystać z łazienki – mówię lekko zawstydzona.

– Pewnie. Bez problemu.

Jedziemy jeszcze chwilę, ale jak na złość, nie ma tu żadnej stacji.

– Dobra... – wyduszam z siebie, czując coraz większy wstyd – może po prostu zatrzymaj się przy tym zaułku, co?

Piotr patrzy na mnie współczująco.

– Jesteś pewna?

– Niestety tak. Za dużo kawy – mówię głupio.

Samochód staje, ja wyskakuję z niego jak z procy i wbiegam między kosze na śmieci.

Jest mokro, zimno, ciemno i źle. Nie mam jednak wyboru; wolę się nie zsikać w aucie z typem, który pracuje obok mnie i podwozi mnie do domu z dobrego serca. Zdejmuję spodnie i uważam, żeby nie oblać sobie płaszcz. Po wszystkim szukam w kieszeni chusteczki, ale po chwili poszukiwań po prostu się ubieram i próbuję wrócić do auta.

Moją drogę zastępuje jakiś cień.

– Piotr? – pytam nieśmiało.

– Pudło – odpiera głos, który na pewno nie należy do mojego nowego znajomego.

Kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa.

Panikuję. Trzęsącymi się dłońmi próbuję wyciągnąć puszkę z gazem z kieszeni, kiedy nieznajomy rzuca się na mnie. Triumfalnie udaje mi się zdążyć, wyciągam przed siebie dłoń i naciskam spust.

Nic się nie dzieje.

– Skurwysyn! – krzyczę, kiedy uwalnia się na mnie kilkadziesiąt kilo. Wpadam w amok, opętańczo wrzeszczę i próbuję zrobić wszystko, żeby się uwolnić...

Ciężar jest zbyt wielki, nie mogę poruszyć ani rękami, ani nogami. Mam problemy z łapaniem oddechu i zaczyna mi brakować powietrza w płucach. Nie jestem pewna, co on ze mną robi. Szuka portfela? Rozbiera? Próbuje zabić?

Nagle czuję, jak napastnik nieruchomieje. Raz po raz słyszę jakiś głuchy, metaliczny dźwięk. Jestem w popłochu. Nie wiem, co się dzieje.

Ciało beja przestaje przyciskać mnie do ziemi, a ja mogę w końcu wziąć głęboki oddech. Nadal prawie nic nie widzę.

Ktoś odciąga mnie od mężczyzny. To Piotr. W dłoni ma jakąś rurę, którą chyba wyjął ze śmietnika. Staje między mną a tym chujem, który mnie napadł. Widzę, jak brudny jebaniec wstaje powoli, podnosi mój telefon i zaczyna uciekać. Mój znajomy najwyraźniej chce go gonić, ale kiedy tylko mnie puszcza, to wywracam się na ziemię.

– Cholera, cholera! – powtarza Piotr.

Holuje mnie do auta.

– Nic ci nie jest? – pyta w końcu.

– Nic. Jedź.

Atak paniki minął, teraz jestem pogrążona w apatii. Napięcie, zbierane przez cały wieczór, niewyobrażalnie mnie zmęczyło.

– Trzeba zadzwonić na policję.

– Później. Jedź.

– Ale...

– Piotr – patrzę na kierowcę krzywo – proszę cię. Jedź. Chcę być daleko stąd.

Mężczyzna niechętnie rusza, a ja zaczynam czuć się głupio.

– Dziękuję. I przepraszam – mówię w końcu.

– Daj spokój! Przecież... Cholera, jak tylko usłyszałem twoje krzyki... sam się naprawdę wystraszyłem. Ale jesteś cała, nie? Nie zdążył nic zrobić?

– Nie. Na szczęście nic. Tylko dzięki tobie. Kurwa, ten jebany gaz! – krzyczę nagle, rzucając nim o podłogę.

– Co, zdążyłaś go użyć?

– Zdążyłam, ale nie wystrzelił. Co za gówno. To powinno być niezawodne!

– Długo go masz? – pyta Piotr z dziwną miną.

– Kilka lat. I jeszcze nigdy go nie użyłam.

– Słuchaj – kierowca jest nieco zmieszany – nie próbuję powiedzieć, że to twoja wina, ale sprawdzałaś może jego datę ważności?

– Co?

– Datę ważności. Powinna być gdzieś na puszcze.

Podnoszę gaz i sprawdzam. Faktycznie, na spodzie wydrukowano małe literki.

– Kurwa – jęczę.

– Przeterminowany? – pyta Piotr.

– I to trzy lata.

Zgroza ściska mnie za gardło.

– I pomyśleć, że ja z nim chodziłam tyle czasu... Chociaż wydawało mi się, że w razie problemów mogę się obronić... Gdyby nie ty, to byłoby po mnie. Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić. Hej, możesz, proszę, otworzyć schowek?

Jestem nieco zdziwiona, ale nie oponuję.

– Powinnaś tam znaleźć puszkę z żelem pieprzowym. Tę, którą chciałem ci dać na parkingu. Sam wożę ją w aucie na wszelki wypadek. Jest w miarę świeża, możesz sprawdzić datę. Myślę, że będzie lepiej, jeśli ją weźmiesz.

Obracam przedmiot w dłoniach. Rzeczywiście, powinna być dobra jeszcze przez półtora roku.

– Dzięki. Oddam ci za nią. Ile kosztowała?

– Daj spokój.

– Nie, naprawdę. Ile?

– Nie trzeba – stanowczo mówi Piotr.

Wyciągam kopertówkę, po czym przypominam sobie, że od dawna nie używam gotówki. Karty też nie noszę, wszystko mam w telefonie.

Miałam. Kurwa.

– To pozwól chociaż, że dam ci jakieś whisky, jak już dojedziemy. Cokolwiek.

– No, tego nie odmówię. – Widzę, jak mężczyzna się uśmiecha.

Ponownie zapada milczenie.

– Tu w lewo – przerywam ciszę po dłuższej chwili.

– Pewnie. No, powiem ci, kawałek masz do pracy.

– Trochę jest, ale nie narzekam. – Wzruszam ramionami. – To właściwie już tu, ten budynek. Dzięki.

– Nie ma problemu. – Piotr parkuje.

Gasi silnik i zamyka auto, po czym idzie za mną do klatki schodowej.

– Cholera, ale tu ciemno – komentuje przepaloną żarówkę.

– Uroki kamienic. Wyciągnij dłoń, po prawej masz barierkę.

Potyka się, ale nie traci równowagi.

– Szlag.

– No cóż, wiesz, jak to jest: wysokie sufity. Bez drabiny nie zmienisz żarówki. Ale przynajmniej ściany są grube, tłumią prawie wszystko. Kiedy okna są zamknięte, to można się poczuć, jakby nikogo nie było w całym budynku.

– Serio?

– Powaga. Ponoć w czasie wojny w jednym z mieszkań żyła rodzina żydowska, a obok Niemcy. Żydzi po ucieczce z getta gotowali, korzystali z łazienki i tak dalej, ale nikt ich nie słyszał. Musieli tylko uważać, żeby ich nie widziano.

– Ciekawa historia.

– Całkiem. No, to już tutaj.

– Mogę skoczyć do toalety?

– Jasne.

Otwieram zatraskowe drzwi i zapalam światło.

– Dobra, słuchaj, łazienka jest tam, na końcu korytarza po prawej. Ja poszukam mojego faceta, zastanawiam się tylko, jak go obudzić... a potem wybierzesz sobie z jego kolekcji coś do picia.

– W porządku. Skorzystam i uciekam. Dziękuję.

Patrzę w stronę salonu; na kanapie siedzi mój narzeczony z głową przechyloną do przodu. Wygląda na to, że kima.

Kurwa, on śpi, a ja przez to prawie zginęłam...

Nie wpada mi do głowy żaden dobry pomysł, więc stawiam na klasykę.

Idę cicho do kuchni i wyciągam dwie największe pokrywki do garnków, jakie jestem w stanie znaleźć. Zakradam się do salonu, w którym nieco dziwnie pachnie, ale to ignoruję.

Mam wrażenie, że nieco mnie pojechało. Dzisiejszy wieczór był pełen wrażeń. Zostałam sama na parkingu, potem Piotr, a na końcu ktoś chciał mnie zgwałcić i zabić w alejce. Albo okraść. Albo wszystko naraz.

Ale już jest dobrze. Jestem bezpieczna. Jestem w domu.

I to wszystko nie przydarzyłoby się, gdyby nie ten zasrany leń.

Staję tuż za moim partnerem i mściwie, z całej siły tłukę pokrywkami o siebie.

Hałas jest głośniejszy, niż myślałam, ale narzeczony nawet nie drgnie.

– Maciek, kurwa, no weź. – Klepię go w ramię, a on przewraca się na kanapę i nadal śpi.

Dziwne. No cóż. Może co innego go nieco otrzeźwi.

Zapalam światło.

Kanapa jest przesiąknięta krwią. Mój partner ma poderżnięte gardło i mnóstwo ran na klatce piersiowej. W brzuchu nadal tkwi ogromny nóż, którego ostra końcówka wystaje lekko z pleców. Pewnie dzięki temu nadal siedział, przynajmniej dopóki go nie popchnęłam.

Zaczynam krzyczeć, ale ktoś tłumi mój wrzask, przykładając mi dłoń do ust.

– No już, cicho, cichutko – mówi Piotr. – On też krzyczał, ale jak widzisz, nikt nam nie przeszkadzał. Muszę przyznać, że te mury są naprawdę nie do zdarcia. Świetna sprawa, nawet nie wiesz, jak to wszystko ułatwia...

Nieruchomieję, bo przypominam sobie o puszcze ze świeżym gazem pieprzowym. Trzeba to dobrze rozegrać. Z drugiej strony, tej ręki akurat mi nie trzyma...

Wiedziona nagłym impulsem podnoszę dłoń z pojemnikiem w taki sposób, by wylot wskazywał na Piotra. Celuję szybko w miejsce, gdzie – jak mi się zdaje – jest jego twarz, po czym z całej siły naciskam spust.

Nic się nie dzieje. Znowu.

Napastnik śmieje się szczerze.

– Niezły refleks. Chyba nikt do tej pory nie dał rady czegoś takiego zrobić. A może po prostu domyślali się, że nie dałbym im działającej broni?

Czuję nagły, silny nacisk na moje gardło.

– Poczeka – rzęczę – a telefon... znajdą cię... zostaw mnie, to nikomu nie powiem...

Przed oczami pojawiają mi się mroczki i czuję, że się duszę, ale słyszę jeszcze odpowiedź Piotra.

– Mam wierzyć, że nie zgłosisz na policję zabójstwa swojego narzeczonego? To dobre. A telefon... Nie no, Aniu, rozczarowujesz mnie. Naprawdę myślisz, że należy do mnie? Albo to auto. Proszę cię, bądź rozsądna. Po prostu dokończę wszystko, sprzątnę i...

Ostatnie słowa są coraz cichsze, aż w końcu przestają je słyszeć.



DZIEŁO UMYŚŁU

Daniel Kurowski

Na przestrzeni lat spotkałem wielu ludzi, którzy uważali miłośników sztuki Wagnerów za oderwanych od rzeczywistości szaleńców. Mówiono też tak o koneserach, zwykle alienowanych, odpychanych dziwacznymi uprzedzeniami i nieprzyjmowanych do poważnych kręgów towarzyskich. Czasem nazywanych chorymi dewiantami, chcącymi jedynie ziścić swe podłe i obrzydliwe fantazje przed portretami przerażających maszkar zaklętych w płótnach.

Ja jednak nie mogłem się z tym zgodzić.

Fakt, dzieła małżeństwa Wagnerów były istic diabelskie, wyrwane jakby z najgorszych koszmarów czy najciemniejszych zakamarków człowieczego umysłu, jednakże nie miały nic wspólnego z dewiacjami. Odślaniały jedynie to, co ludzkie, co tkwiło głęboko

w nas, od czasu do czasu dając o sobie znać, choć sami pragnęlibyśmy się tego wyprzeć. Nic nie umykało bystrym oczom artystów. Potrafili wejrzeć głębiej, obnażyć lęki każdego, kto podziwiał ich dzieła.

Właśnie za to uwielbiałem mroczną sztukę Wagnerów.

Mecenasi niechętnie widzieli te groteskowe prace w swych galeriach, więc Wagnerowie sami organizowali kameralne wystawy. Zaproszeni goście czasem omdlewali bądź wychodzili zniesmaczeni, nie mogąc unieść ciężaru horroru i przejmującego na wskroś niepokoju, które wyzierały z płócien. Podobno żądali odszkodowań za poniesione straty moralne. Mimo to malarze zyskali rozpoznawalność w całej Polsce i zebrali całkiem spore grono osobliwych pasjonatów, zwykle obracających się w wyższych sferach, które lubiło łamać tabu czy poszukiwało niezapomnianych wrażeń.

Byłem jednym z nich.

Do plecaka wrzucałem co tylko popadnie, portfel, latarkę, notes i dwa długopisy, a także mały powerbank, na wszelki wypadek. Spojrzałem na to wszystko jeszcze raz i westchnąłem. Chyba powinno wystarczyć.

Po włożeniu butów poprawiłem jeszcze roztrzepaną fryzurę. Leżący na komodzie telefon wylądował w kieszeni, podobnie jak paczka papierosów i kluczyki do samochodu. Wziąłem jeszcze parę lateksowych, które miały mi się przydać dopiero na miejscu. Zamknąłem za sobą drzwi pokoju, najciszej jak tylko mogłem, lecz mimo to matka wszystko usłyszała.

– Sebastian, wychodzisz gdzieś? – rzuciła beznamiętnie, po czym wyszła z kuchni, patrząc na mnie pustymi, pozbawionymi emocji oczami.

Śmierć ojca odcisnęła na niej ogromne piętno. Przeżyła ją o wiele gorzej, niż ja czy Kasia i choć było to tak dawno, wciąż żyła tamtym dniem. Nie dziwiłem się i pragnąłem za wszelką cenę pomóc, lecz na nic się nie zgadzała, uparta jak zwykle. Jej nocne szlochy przyprawiały czasem o dreszcze... Jedyne co mogłem zrobić, to nie mieszać jej w swoje kolejne, być może niebezpieczne, plany.

W tym przypadku niewiedza powinna być najlepsza.

– Umówiłem się z chłopakami na piwo – skłamałem i poprawiłem plecak. – Prześpię się u Mateusza, więc nie musisz na mnie czekać.

Siostra wyszła z pokoju i uśmiechnęła się dyskretnie w moją stronę. Dobrze wiedziała, że kłamię, lecz mimo to czułem, że nic nie wygada. Znała moją obsesję i choć była jej przeciwna, to również robiła wszystko, by nie wciągnąć w to zrozpaczonej matki, która miała na głowie zbyt wiele problemów. Byłem za to niezmiernie wdzięczny.

– Pozdrów go od nas – rzuciła sarkastycznie na pożegnanie, a ja tylko niezręcznie pokiwałem głową. Ucałowałem matkę na pożegnanie w policzek i sprzedałem Kaśce kuksańca, na co ona odpowiedziała lekkim kopnięciem. Matka w ciszy wróciła do kuchni, a Kasia do swojego pokoju wypełnionego dźwiękami lasującej mózg muzyki.

Zacisnąłem dłoń na klamce. Niepewność i zgroza zrodziły się w moim umyśle, lecz tylko na chwilę. Otworzyłem w końcu drzwi, po czym wyszedłem na ciemną klatkę schodową, zostawiając matkę i siostrę za sobą.

Słońce chowało się leniwie za horyzontem, malując niebo czerwono-pomarańczowymi barwami. Kiedy tylko wysiadłem ze srebrnego golfu zaparkowanego niedaleko urzędu gminy, listopadowy wiatr obdarzył moje policzki lodowatym pocałunkiem. Zarzuciłem stary płaszcz, który ojciec podarował mi przed śmiercią, jednak wciąż było mi dziwnie zimno, jakbym znalazł się w sercu zamrożonego piekła.

Senna wieś wycofywała się powoli z dziennego życia, a ludzie kierowali się w stronę ciepłych łóżek i foteli. Nie dla mnie jednak te wygody, gdyż wyruszałem na największą eskapadę dotychczasowego życia, której sukces miał być wielkim krokiem w mojej karierze. Krokiem ku sławie, a być może i małej fortunie, która zetrze szydercze uśmiešky z ust moich kolegów po fachu ciągle powtarzających „Sebastian, weź się w końcu za coś poważnego”.

Ponadto matka nie będzie musiała się przejmować ciągle rosnącymi rachunkami, a i siostra mogłaby spojrzeć z większą nadzieją na wymarzone studia za granicą.

Opłacało się podjąć takie ryzyko.

Banie to opustoszała miejscowość na zachodzie Polski, mała, lecz wypełniona niezwykłą historią. Dawno temu ziemia ta należała do Templariuszy, którzy wznieśli kamienny kościół, odrestaurowany po licznych konfliktach zaznaczonych krwią na kartach lokalnych kronik. Ja jednak nie przyjechałem tutaj ani dla kaplicy, ani dla wspomnienia zakonników. Nie byłem żadnym historykiem, tylko początkującym dziennikarzem, a prawdziwym celem mojej podróży był słynny dworek Wagnerów. To tam znajdowały się

ich piekielne prace, to tam miała odbyć się w przyszłym tygodniu wystawa prezentująca najnowsze dzieło artystów.

Wystawa i dzieło o tyle niezwykle, gdyż Wagnerów od dawna uważano za martwych lub zaginionych tak jak ich syna, Józefa, człowieka równie, a być może i bardziej tajemniczego od samych artystów.

Wyciągnąłem papierosa ze zmiętej paczki. Zapaliłem go, choć nieprzyjemny wiatr zdmuchiwał płomień zapalniczki. Zaciągnąłem się w końcu i wypuściłem dym przez lekko zaciśnięte wargi. Głęboko westchnąłem i ruszyłem powolnym krokiem w stronę dworku, wciąż rozmyślając nad swoim planem. Żwir chrząścił mi pod znoszonymi butami, zimny wiatr mierzwił kasztanowe włosy, a nagie gałęzie drzew rzucały na ulicę niewyraźne cienie.

Co jakiś czas wciągałem dym, a popiół strącałem na ziemię drżącymi palcami. Zawsze odczuwałem niepokój, nie mogłem opanować drżenia nóg i płytkiego oddechu, kiedy miałem zmierzyć się z czymś po raz pierwszy. Jeszcze nigdy nie włamywałem się do żadnej prywatnej posiadłości, zwłaszcza kogoś tak bogatego i sławnego jak Wagnerowie.

Nie zamierzałem jednak niczego ukraść, byłem ponad to. Nie nazwałbym też tego włamaniem, prędzej nawiedzeniem pustego domu, nieproszoną wizytą niby dawno niewidzianego kuzyna. Miałem klucze do wszystkich drzwi, co prawda podrobione, wyciągnięte osobistym urokiem i charyzmą od ekipy sprzątaczek przygotowującej dom na wystawę, ale dzięki temu miałem uniknąć niepotrzebnej brutalności i podejrzeń.

Na nic zdały się liczne maile z prośbą o spotkanie z młodym Wincentym Wagnerem, ekscentrycznym wnukiem artystów. Mężczyzna zdawał się nieuchwytny, ignorował niemal wszystkie wiadomości, choć raz dał mi ostro do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać z kimś tak ograniczonym i niewrażliwym jak ja. Nie wiedziałem, co to miało dokładnie oznaczać, ale w tych słowach, pełnych jadu i pogardy, wyczułem wyzwanie.

Wiatr przybierał na sile, muskając bladą skórę na dłoniach i szyi. Znalazłem się w końcu przy małym rozwidleniu, gdzie popękany asfalt ustępował miejsca leśnej szosie prowadzącej prosto do dworku. Uliczne oświetlenie również miało tu swój koniec, pogrążając drogę w półmroku, choć wciąż było na tyle jasno, że mogłem obyć się bez latarki. Nie zmieniło to jednak faktu, że wciąż czułem gryzącą niepewność.

Po chodniku biegli dwaj mężczyźni ubrani na sportowo. Rzucili mi złowrogie spojrzenia, jakbym faktycznie zamierzał coś ukraść. Starsza pani trzymająca na smyczy szczekającego psa, również zaczęła na mnie patrzeć, kiedy tylko znalazłem się na szosie. Mimo iż szedłem szybkim krokiem, nie odwracając się, cały czas czułem na plecach jej przenikliwy, przyprawiający o dreszcze wzrok.

Mieszkają tu bardzo dziwni ludzie, pomyślałem, starając się ich ignorować.

Na leśnej drodze byłem już całkiem sam, wchodzący coraz głębiej w nieznaną. Usiłowałem utrzymać wybujałą wyobraźnię na wodzy, skupiając swój wzrok na pogrążającym się w mroku jeziorze nazywanym przez mieszkańców Długim. Nie był to jednak najlepszy pomysł. Pamiętałem pewną legendę o tym miejscu, którą opowiedział mi ojciec, dawno temu, zanim postanowił odebrać sobie życie.

W latach siedemdziesiątych jakiś chory mężczyzna bestialsko zamordował całą swoją rodzinę i spalił dom razem ze zmasakrowanymi zwłokami, po czym zbiegł z miejsca zdarzenia. Starzy mieszkańcy Bani twierdzili jednak, że mężczyzna w akcie rozpacz i desperacji rzucił się do wody, a jego obrzydliwe, sine i napuchnięte ciało dryfujące przy brzegu można było dostrzec nawet kilkadziesiąt lat później, zwykle po zmierzchu.

Wiedziałem, że to tylko głupia legenda wymyślona zapewne przez znudzonych pijaczków albo babcie chcące nastraszyć niegrzeczne wnuczka. W końcu nigdy czegoś takiego tutaj nie odnotowano, ale stres i gęstniejąca atmosfera zrobiły swoje.

Moje serce zaczęło bić jeszcze szybciej, kiedy w końcu ujrzałem majestatyczną mansardową budowlę, która powitała mnie osobliwym urokiem, wyłaniając się spomiędzy nagich konarów drzew. Stary dworek Wagnerów zdawał się zimny i surowy, mimo że kilka lat temu przeszedł gruntowny remont. Piaskowa farba utraciła już jednak świeżość, przypominając teraz kolory zbliżone do rozmaitych odcieni szarości. To samo można było powiedzieć o czerwonej niegdyś dachówce, teraz brudnej od deszczu i wilgoci, gdzieniegdzie porośniętej mchem.

Stałem przed metalową bramą, po czym rozejrzałem się dookoła, by nabrać pewności, że jestem sam. Na szczęście nikogo nie dostrzegłem, jedynie srebrną tarczę księżycy wiszącą nad jeziorem oraz ciekawskie ptaki siedzące na gałęziach, obserwujące mnie w ponurej ciszy.

Zapomniałem o kluczach do furtki, ale była na tyle niska, że bez problemu ją przeskoczyłem i po chwili wylądowałem na poniszczonym chodniku Wagnerów. Od razu poczułem dziwne uczucie déjà vu oraz dreszcze przeszywające mnie od dołu do góry, jakbym wstępował w nieprzyjazne, choć znajome miejsce.

Wyprostowałem się, po czym ostrożnie ruszyłem w stronę ciemnych drzwi. Miąłem niekoszoną od wieków trawę, a także zaniedbane rośliny, przypominające bardziej cmentarne chaszczki, aniżeli jesienny ogród, pozbawione jakiegokolwiek piękna czy uroku. W oddali stało kilka gipsowych, brudnych i popękanych posągów prawdopodobnie imitujących greckie rzeźby – niegodnie, w mojej skromnej opinii.

Wreszcie dotarłem do masywnych drzwi i głośno wciągnąłem powietrze. Z lewej kieszeni płaszcza wyciągnąłem lateksowe rękawice, które od razu włożyłem, a z prawej pęczek kluczy do posiadłości. Drżącymi dłońmi wsadziłem do zamka największy z nich. Chwila niepewności i... gotowe. Zakręciłem dwa razy, aż poczułem, że mechanizm ustępuje. Chwyciłem mosiężną, lodowatą klamkę, po czym otworzyłem ciężkie drzwi. Wstrzymałem oddech i nadstawiłem uszu, by upewnić się, że wokół mnie nic się nie porusza, że jestem sam, a odgłos otwieranych drzwi nie obudził nikogo i niczego... Cisza, pustka. Wszedłem więc ostrożnie do mrocznego środka, zostawiając wszystko i wszystkich za sobą.

Nie było już odwrotu.

Z plecaka wyciągnąłem latarkę. Białe światło padło na przestronny salon Wagnerów, staromodny, jakby zatrzymany w czasie. Drewniana podłoga skrzypiała pod każdym moim ruchem, a białe ściany odbijały nieprzyjemnie światło. Szedłem w ciszy, obracając się co jakiś czas przez ramię. Czuję, że zrywam zakazany owoc. Niepokój mieszał się z niezdrową fascynacją. Moje serce biło jak szalone, myślałem, że zaraz wyskoczy z piersi.

Dworek Wagnerów na pierwszy rzut oka nie przypominał domu rodzinnego, tylko sterylnie uporządkowane muzeum z otwartymi pomieszczeniami i ciasnymi korytarzami, wypełnione starymi meblami i bibelotami. Najpierw moim oczom ukazał się czarny fortepian, który stał w kącie, cichy i zapomniany, pokryty lekką warstwą kurzu...

Znów odwróciłem głowę, słysząc jakiś niepokojący szelest. Zaświeciłem latarką. Nic. Pusto. To musiał być tylko wiatr albo moja wyobraźnia...

Obok instrumentu znajdował się ozdobny zegar stojący oraz brązowy fotel ze skóry, wysiedziany, gdzieniegdzie popękany, nadgryziony bezlitosnym zębem czasu. Trochę dalej mieściła się masywna komoda, na której leżały dziwaczne rupiecie, figurki jakby afrykańskich bóstw, które pochłaniały światło mojej latarki.

Zaświeciłem trochę wyżej i niemal wrzasnąłem. Nie było w ludzkim języku słów opisujących przerażenie, które ukąsiło mnie niczym jadowity wąż, budząc pierwotne instynkty. Oto moim oczom ukazał się pierwszy obraz Wagnerów, niewiarygodnie ohydny i koszmarny, odpychający brzydotą przedstawionej postaci. Nazywał się *Śliczna Alicja* i przedstawiał okropnie oszpeconą dziewczynę, brutalnie pozbawioną nosa i dolnej szczęki, z gardłem rozszarpanym jakby przez wściekłe zwierzęta oraz językiem przypominającym wijącego się węża.

Kolor, jakiego Wagnerowie użyli do namalowania krwi, był tak wyrazisty i realny, że miałem wrażenie, jakbym patrzył na doskonałą fotografię.

Jej jednooka twarz tylko w połowie zachowała dawne piękno, utracone na zawsze, zniszczone przez dziką i nieznaną siłę, która momentalnie odsłoniła ukryte oblicze człowieka. Mimo to dziewczyna pozowała jakby do zdjęcia, na tle starodawnej boazerii, niewzruszona stanem ciała, choć w głębi duszy czułem jej ból i przerażenie.

Znałem ten portret z internetu, jednak ekran monitora nie był w stanie oddać nawet połowy grozy i obrzydzenia, które emanowały z obrazu i hipnotyzowały widza.

Tylko geniusz lub szaleniec mógł skazać płótno czymś takim.

Drżąc, zaświeciłem dalej i ujrzałem kolejne obrazy zawieszane na ścianach, przedstawiające dziwnych ludzi obdartych ze skóry, z powykręcانymi kończynami, gnijącymi mięśniami czy wybitymi zębami. Wszechobecny i przytłaczający turpizm, który Wagnerowie opanowali do perfekcji. Plakietki z tytułami portretów głosiły: *Kobieta w konwulsjach*, *Naga prawda Tadeusza*, *Ukryte piękno Magdaleny* czy *Anatomia Strachu Doktora Kowalskiego*. Większość z nich dobrze znałem, jednak teraz wydawały mi się obce, żywe, bardziej tajemnicze... No i te oczy! Te przekłete oczy, które śledziły mnie nienawistnym wzrokiem, przebijały na wylot i wysysały całą energię. Czułem, jakby zaglądały w moją duszę, rozkładały ją na części pierwsze, posilały się.

Kilka tutejszych prac nigdy nie ujrzało światła dziennego, więc były dla mnie czymś nowym, fascynującym. Obraz zatytułowany *Topielec* przedstawiał sinego i nabrzmiałego mężczyznę leżącego na plaży, wciąganego do ciemnej wody przez pokraczne istoty wyrwane z najgorszych koszmarów. Jego skóra wydawała się gąbczasta, pokryta dziwnymi bąblami i wrzodami. Obok niego wisiał portret tak odrażający, że od razu odwróciłem oczy, gdy tylko światło latarki rozjaśniło jego parszywe ciało pokryte setkami ohydnych dziur, jedna obok drugiej, momentalnie wywołującymi u mnie obrzydzenie.

Im dalej szedłem, tym potworniejsze postacie spotykałem, jedną gorszą od drugiej. Odpychające, szkaradne i haniebne, wyciągnięte siłą z czeluści piekła, którym sam Szatan bałby się pokłonić...

W końcu zatrzymałem się przed kamiennym kominkiem i ujrzałem zawieszony nad nim autoportret małżeństwa Wagnerów. Zamarłem. Zofia i Fryderyk wyglądali na nim tak... zwyczajnie, niekontrowersyjnie. Od ludzi okrytych taką sławą oczekiwało się zupełnie czego innego. Oboje byli ubrani w bardzo staromodne, powiedziałbym nawet dziewiętnastowieczne ubrania. Mieli delikatne, szlachetne rysy twarzy i pozowali dumnie, z pełnią gracji, niby arystokraci. Ich szare oczy również śledziły każdy mój ruch, jednak pozbawione były tej nienawiści, zakłętej w ślepiach maszkar... Jednak jakie inne sekrety skrywały?

W napiętej ciszy zwiedzałem parter posesji. Naliczyłem dwadzieścia dwie prace, jednak musiała być to tylko połowa ich dorobku, słyszałem o znacznie większej liczbie. W powietrzu unosiła się dusząca atmosfera, a chłód przenikał mnie do szpiku kości. Jeszcze nigdy nie czułem się tak nieproszony, ciągle obserwowany. Żadne odwiedzone przez mnie miejsce nie było tak niegościnne, tak odpychające i wrogie.

Światło latarki padło na brązowe drzwi znajdujące się w pobliżu kuchni. Złapałem ostrożnie za chłodną klamkę, jednak drzwi ani drgnęły. Wypróbowałem po kolei wszystkie klucze i nic, żaden nie pasował.

To musiało być zejście do piwnicy, której sprzątaczkę miały unikać jak ognia. Jedną z nich, najbardziej zauroczoną moim towarzystwem, zdradziła, że w domu są trzy niedostępne dla nich miejsca. Była to właśnie piwnica, strych oraz pokój Józefa Wagnera, znajdujący się gdzieś na pierwszym piętrze.

Ja natomiast za wszelką cenę musiałem do niego zajrzeć.

Stojąc już jakiś czas przy drzwiach do piwnicy, wyczuwałem nasilający się fetor jakby stęchlizny zmieszanej z ostrym zapachem octu, które drażniły moje nozdrza. Nie miałem pojęcia, co to mogło być. Wzdrygnąłem się tylko i ruszyłem w stronę schodów prowadzących na pierwsze piętro.

Stąpałem powoli, ostrożnie, rozglądając się dookoła. Na ścianie wisiały różne zdjęcia, jedne czarno-białe, inne w kolorze, przedstawiające zwykle Wagnerów oraz ich córkę, Marię. Matka Wincentego była ładną podobną do swoich rodziców, jakby odziedziczyła ich cechy po równi, choć z tego, co czytałem, wybrała bardziej ścisłe kierunki studiów.

Dokładnie przyglądałem się zdjęciom, jednak nigdzie nie widziałem Józefa. Dostrzegłem tylko jedną fotografię rodzinną, na której mógłby się znajdować, lecz była rozerwana na pół, jakby w celu wyrzucenia z pamięci syna marnotrawnego...

Coś musiało się między nimi wydarzyć, coś, co silnie wpłynęło na życie wszystkich członków rodziny. Musiałem się tego dowiedzieć...

Wszedłem w końcu na górę i ujrzałem kolejne obrazy, równie niepokojące, co poprzednie. Przedstawiały dziwne, mroczne miejsca, odwiedzane jedynie przez szaleńców czy desperatów poszukujących mocnych wrażeń. Zapomniany cmentarz, puste pomieszczenie podobne do salonu Wagnerów oraz pogrążone w ciemności mauzoleum z otwartymi grobami.

Z drugiej strony wisiały prace prezentujące jakby chaotyczne palety krwistoczerwonych barw, namalowane zarówno z prawdziwą wściekłością, jak i zabójczą precyzją. Ich tytuły odpowiadały różnym emocjom: *Złość*, *Gniew*, *Żal*, *Smutek*. Wydawały się

niezwykle osobiste. Nic dziwnego, że nie znalazłem ich zdjęć w internecie... Postanowiłem więc wykonać je samemu, do własnej kolekcji.

Przemierzałem ciemny korytarz pełny lęku, zaglądając do różnych pokoi, jednak nie znalazłem niczego ciekawego. Żadnych albumów, pamiątek, dzienników, nic. Czulem, że błędę jak w labiryncie. Większość pomieszczeń wyglądała tak samo, proste łóżka, szafy i komody z ciemnego drewna, do tego staromodne perskie dywany. Ponadto w każdym pokoju wisiały te przerażające portrety nieludzkich istot... Jak ktokolwiek mógł z nimi spać?

W końcu natrafiłem na opór w drzwiach. Klamka, za którą złapałem, drgała, sprawiała, że moja dłoń dziwnie mrowiła. Czyżby to był pokój Józefa? Wypróbowałem wszystkie klucze, jednak żaden nie pasował... Tak, to musi być to. Napałem ciałem na drzwi, coraz mocniej i mocniej, aż w końcu odpuściły. Odchyliłem je ostrożnie, po czym zaświeciłem latarką, wypełniając pomieszczenie białym światłem. Pokój był bardzo ciasny, a gęsty kurz spowił biurko, komodę oraz duży regał z książkami.

Przy brudnym oknie znajdowały się wielkie pajęczyny, na których wisiały tłuste, odrażające pająki. Pod nimi stało żelazne łóżko z cienkim materacem oraz białą kołdrą przypominającą prześcieradło, którym zakrywało się ciała w kostnicy.

Długość pomieszczenia i panujący w nim mrok sprawiały, że wyglądał bardziej jak trumna niż czyjkolwiek pokój, zwłaszcza młodego chłopaka. Rozejrzałem się dookoła, szukając czegoś ciekawego, podziwiając przy okazji stare lektury znajdujące się na regale. Widziałem Pismo Święte oraz stojący obok niego metalowy krzyż.

Wagnerowie nigdy nie byli religijni, więc zdziwiłem się obecnością tych przedmiotów w pokoju Józefa. Ich syn wydawał się taki inny, taki obcy wśród pozostałych członków rodziny, zupełnie jakby do nich nie pasował...

Spojrzałem na puste biurko. Wysunąłem jedną z szuflad i po chwili coś znalazłem. Gruby zeszyt, obity czarną skórą, którego kartki były pożółkłe i suche. Bałem się, że coś zniszczę. Otworzyłem go najdelikatniej, jak tylko mogłem, i przeczytałem tłusto napisane ostrzeżenie:

Pamiętnik ten zostaje w tym plugawym miejscu i nie ma prawa opuścić jego murów. Nigdy, pod żadnym pozorem, a ktokolwiek go odczyta, niechaj zmiłuje się nad moją duszą. J.W, 1995r.

O mój Boże. To pamiętnik Józefa Wagnera. Jego osobiste, prywatne wyznania i historie... Czulem się, jakbym znalazł worek ze złotem. Taka zdobycz na pewno będzie zawierać mnóstwo informacji o życiu Wagnerów, ich relacjach, drodze do mistrzostwa, a i może odpowie na pytanie dotyczące tajemnic Józefa.

Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Pewnego dnia po prostu zaginął, a wszelkie ślady zniknęły wraz z nim. Uciekł z jakąś dziewczyną? Wyjechał za granicę? Popęłił samobójstwo? Jedyni mówili tak, a drudzy inaczej, jednak wszyscy wiedzieli, że wydarzyło się tu coś dziwnego, coś, o czym Wagnerowie niechętnie mówili.

Być może wkrótce się tego dowiem.

Usiadłem na łóżku, które żałośnie zaskrzypiało. Przełknąłem głośno ślinę i zacząłem czytać, oświetlając wszystko latarką. Pismo Józefa było bardzo niewyraźne, koślawe, ale starałem się rozszyfrować wszystko, co tylko mogłem. Pierwsze opisy nie wniosły niczego interesującego, młody Józef opisywał jedynie swoje drewniane zabawki, ulubione filmy i książki, szkołę czy kolegów. Nie wspominał o rodzicach i ich twórczości. Dopiero późniejsze notatki z nastoletnich lat Józefa wprawiły mnie w prawdziwą grozę i osłupienie.

Widzę je wszędzie, ich obślizgłe, wijące się ciała... już dłużej tak nie mogę. Czuję, jak po mnie łażą, kłusają. [...] Myślę, że mogą wychodzić z naszej piwnicy, ale jak dostają się aż tutaj... Musiałem się tego dowiedzieć.

[...] Ojciec zbił mnie porządnie, kiedy znalazłem klucze do piwnicy. Krzyczał, że na wszystko jeszcze przyjdzie czas, że jestem za młody i teraz niczego nie zrozumiem. [...] Miałem cierpliwie czekać i wszystkiego się uczyć...

Koledzy przestali się do mnie odzywać, kiedy dowiedzieli się, kim są moi rodzice. Nie wiedziałem, dlaczego tak postąpili, ale słyszałem raz, że nie chcą mieć do czynienia z takim dziwakiem jak ja...

Byłem sam, nie miałem z kim się pobawić ani porozmawiać. Mówiłem więc do siebie, najpierw w głowie, a potem na głos. Nie spodziewałem się, że zaczną odpowiadać...

Przeleciałem wzrokiem przez kilka kolejnych kartek, zapisując wszystko w notesie, który wyciągnąłem z plecaka, aż zaczęła mnie boleć ręka. Przewróciłem kolejną kartkę pamiętnika, pochłaniając wszystko, co tylko rozczytałem, jakbym był w jakimś transie.

Życie Józefa było doprawdy rozdzierająco smutne i samotne...

Maria czasem przyprowadzała tu swoją starszą koleżankę, Alicję. Nigdy jej nie lubiłem, była taka wredna i niemila! [...] W liceum wszyscy zachwycali się jej urodą, jej śliczną twarzą, jednak ja wiedziałem, że drzemie w niej podłość i próżność, które często dawały się we znaki. [...] Raz słyszałem, że ukradła Marii ubrania, gdy ta brała prysznic po wychowaniu fizycznym, zostawiając moją siostrę nagą i przerażoną... Dowiedzieli się o tym

nasi rodzice i zostali wezwani do szkoły. [...] Po skończeniu liceum Alicja wyjechała na studia do Poznania. Z tego co mi wiadomo, nigdy tam nie dotarła...

Niepokój władał mną coraz mocniej. Czyżby obrazy były inspirowane prawdziwymi osobami? Prawdziwą śmiercią i prawdziwym cierpieniem? Coraz mniej mi się to wszystko podobało. Nawet zacząłem skłaniać się powoli ku sceptykom, którzy uważali Wagnerów za chorych i patologicznych degeneratów... Jednak to, co znalazłem na kolejnej stronie, zmroziło krew w moich żyłach:

[...] Nigdy mnie nie rozumieli. Ja też nigdy nie mogłem pojąć ich dziwacznych umysłów. Od dziecka bałem się zasnąć, kiedy rozstawiali sztalugi na parterze i malowali, wydając przy tym potworne dźwięki, jakby dzikiej, okultystycznej orgii, pełnej wulgarności i zła. Odchyliłem raz drzwi swojego pokoju i ujrzałem jedynie czerwone, pulsujące światło, jakby z samych czeluści piekła, które wydobywało się z parteru w akompaniamencie tej koszarnej, niehumanitarnej kołysanki...

Miałem na tyle wysokie łóżko, że mogłem się pod nim chować, dając sobie fałszywe poczucie bezpieczeństwa... Do tego ten ostry smród formaliny i rozkładu, który często wypełniał moje nozdrza [...].

Jestem przeklętym dzieckiem potworów! [...]

Bałem się każdej nocy...

[...] Słyszę ich krzyki... One żyją... ŻYJĄ! Wyjź i patrz na mnie ze ścian!

Kolejne kartki zawierały coraz bardziej osobliwe opisy hałasów i cieni, które widywał Józef. Marginesy zeszytu wypełniały jakieś koślawe rysunki dziwacznych znaków i zwierząt, a fakt, że tworzył je jedynie nastolatek, wprowadzał mnie w jeszcze większy niepokój. Czułem się, jakbym przeglądał ten dziennik całą wieczność... Następnie trafiłem na strony wypełnione samymi pokręconymi bohomazami, czasem literami w dziwnym języku, jakby rymowanekami czy wierszami...

Potem nic, puste strony, niemal do samego końca... Jednak dalej coś było. Coś innego, napisanego mniej koślawo, jakby innym stylem. Dziwne... Ton opisów Józefa zmienił się drastycznie, pisał teraz jak zwykły, szczęśliwy chłopak, który poznał jakąś dziewczynę i rzucił dla niej wszystko. Z tego co wyczytałem, był to bardzo poważny związek, pierwszy w jego życiu. Ostatni wpis pokrywał się z datą zaginięcia Józefa – osiemnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

Małgosia, Małgosia, kochana Małgosia! Tak śpieszno mi do Ciebie, każdego wieczora myślę tylko o tym, że niedługo się stąd wyrwę, że zamieszkamy w końcu razem! Tak, weźmiemy ślub i nikt nie stanie nam na drodze! Kupimy kiedyś to mieszkanie, co tak Ci się

podobało, trzy pokoje, żeby dzieci miały miejsce. [...] Pytałaś mnie, jak je nazwiemy, choć dobrze wiesz, że nie jestem w tym dobry... Uważam jednak, że Sebastian i Katarzyna to bardzo ładne imiona...

Głośny hałas dobiegający z dołu oderwał mnie od lektury. Momentalnie oblał mnie zimny pot, a oddech stał się płytki, drżący. Boże, ktoś tu jest? Wagnerowie? Zamknąłem pośpiesznie dziennik Józefa i odłożyłem go na miejsce. Wychyliłem się ostrożnie z pokoju, po czym zamarłem. Ujrzałem pulsujące, czerwono-pomarańczowe światło, które promieniowało z parteru. Usłyszałem też tę potwornie brzmiącą kołysankę śpiewaną niskim, nieludzkim głosem, brzmiącym jakby wydobywał się z jakiejś głębi, wzywał do siebie, hipnotyzował.

Serce waliło mi jak szalone, a nogi niemal całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Oparłem się o ścianę i zgasilem latarkę. Boże! Nie wiedziałem, co mam zrobić, gdzie mam pójść, jak uciec. Jeżeli ktoś mnie tutaj złapie, to będę mógł pożegnać się z pracą, biografią, z planami i marzeniami... Nie. Myśl racjonalnie! Przecież Wagnerowie nie byli w tym domu od lat, a wystawa jest dopiero za tydzień. Dlaczego akurat teraz ktoś miałby tu wpaść? O tej porze? Ale to piekielne światło, ta okropna melodia... Musiałem wziąć się w garść, pokazać samemu sobie, że irracjonalny strach nie może wygrać.

Ruszyłem po omacku do tyłu, desperacko szukając innego wyjścia. Jakoś muszę opuścić ten przeklęty dom, może to będzie dobra droga. Moja głowa zahaczyła o coś zwisającego z sufitu. Zamarłem po raz kolejny. Sięgnąłem powoli dłonią, bojąc się, co mogę złapać. Wyczułem jakiś długi sznurek zakończony koralikiem. Wejście na strych. Być może tam znajdę jakieś wyjście albo schronienie.

Głosy z parteru nasilały się złowrogo, jakby zbliżając w moją stronę. Szarpnąłem w końcu sznurkiem i z sufitu wypadła składana drabina. Załapałem jej drewniane szczeble i zacząłem wchodzić powoli na górę, cały się trzęsąc, pograżając w jeszcze głębszym mroku.

W końcu znalazłem się na górze, a moje nozdrza wypełnił zapach formaliny i octu... Zapaliłem latarkę i zamarłem, kiedy światło objawiło mi tajemnice strychu. Myślałem, że ujrzanie z bliska obrazów Wagnerów było przerażającym doświadczeniem, jednak teraz nie byłem w stanie określić skali potworności, która mnie otaczała. Zakryłem usta dłonią, tłumiąc krzyki. O mało nie zwymiotowałem.

Na półkach i stołach znajdowały się słoje, dziesiątki słoików i terrariów wypełnionych formaliną. A w nich... O zgrozo! Widziałem ludzkie dłonie, stopy, a także wyrwane pary oczu. Do tego coś na kształt mózgu, serca i nerek. Boże, jakie obrzydliwości!

Co tu się, kurwa, dzieje?!

W oddali widziałem jakieś rzeźby... Nie, nie rzeźby. Jezu! To były ludzkie ciała! Złączone, pozszywane, tworzące jakieś kreatury, jakieś przerażające monstra. Leżały na drewnianych stołach i przykryte były niedbale brudnymi szmatami. Ich usta oraz puste oczodoły wypełniono słomą jak wiejskie strachy na wróble...

Jezu! Muszę jak najszybciej stąd uciec.

Światło latarki padło na samotną sztalugę zakrytą prześcieradłem. Tuż za nią znajdowało się okrągłe okno, które wpuszczało delikatny blask księżyca. Droga wyjścia. Wybawienie.

Ruszyłem pośpiesznie, nie oglądając się dookoła, ignorując leżące zwłoki i pływające w słojach narządy. Boże, co oni tu robili?!

Znalazłem się w końcu obok stelaża skrywającego kolejną, być może jeszcze gorszą tajemnicę. Nowy obraz, który miał zostać wystawiony? Moja ręka mimowolnie dotknęła prześcieradła, by je ściągnąć i ujrzeć kolejne, oby ostatnie dzieło tych pieprzonych potworów.

Nagły błysk zapalonego światła sprawił, że wrzasnąłem i upuściłem latarkę.

– Nie robiłbym tego – odparł zmanierowany głos. Odwróciłem się momentalnie i ujrzałem Wincentego Wagnera, który stał przy wejściu na strych. Pierwszy raz widziałem go na własne oczy. Ubrał się w dopasowany do ciała sweter i czarne spodnie, które współgrały z ulizanymi, kruczoczarnymi włosami.– Ujrzenie dzieła przed premierą przynosi pecha.

Wytrzeszczyłem oczy i zawahałem się. Nie wiedziałem, co powiedzieć, co zrobić. Stałem tylko w milczeniu i obserwowałem jego ruchy. Wincenty uśmiechnął się nieprzyjemnie i ruszył powoli w moją stronę. Ja natomiast cofnąłem się w stronę okna.

– Daruj sobie, i tak go nie otworzysz, Sebastianie – rzucił Wincenty i zatrzymał się. Następnie wyciągnął ręce jakby w geście powitania. – Nie doceniłem cię, myślałem, że nigdy tu nie przyjdiesz, że jesteś tak samo nudny i słaby. Dziadkowie jednak nalegali, myśleli, że coś z ciebie będzie. Chyba mieli rację...

Nic nie odpowiedziałem, starałem się jedynie uspokoić oddech.

– Sebastianie, uspokój się! – Wincenty zrobił kolejny krok do przodu. – No dalej, uściskaj swego kuzyna!

Kuzyna? Jakiego kuzyna?

– O czym ty mówisz? – spytałem drżącym głosem.

– Byłeś tak daleko od nas, jednak krew pozostaje taka sama. Nic dziwnego, że sztuka dziadków tak cię fascynowała, budziła skrywane fantazje i lęki...

– Jesteście chorzy! – przerwałem mu mimowolnie, wypełniony dziką wściekłością zmieszaną z przerażeniem. Wincenty zatrzymał się w połowie kroku, a jego radosna mina zmieniła się nagle w grymas zawodu i niehumanitarnej wściekłości. Nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać, wydawał się być szalony, nieobliczalny. Czy rzuci się na mnie? Czy rozbije stojące obok słoje?

– MÓWIŁEM, ŻE JEST TAKI SAM JAK JEGO OJCIEC!!! – wrzasnął gwałtownie wniebogłosy, a ja miałem wrażenie, że w odpowiedzi zatrzęsł się cały dworek. – TAK SAMO ZWYCZAJNY I TCHÓRZLIWY!!!

Moje przerażenie rosło z każdą chwilą. Rozglądałem się w panice, aż w końcu dostrzegłem zejście. Musiałem tam podejść.

– Jesteście chorzy! Wszyscy! – rzuciłem, usiłując go okrążyć i dopaść drabinę. Jedyne, o czy teraz myślałem, to uciec stąd jak najszybciej i nigdy nie wracać. Biec jak najszybciej i nie oglądać się za siebie.

– Taki sam jak ojciec – powtórzył Wincenty i wytarł teatralnie łzy, które napłynęły mu do oczu.

Zawahałem się.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Nadal nie wiesz, nieprawdaż? On nigdy ci nie powiedział...

Spojrzałem na niego zdezorientowany. Serce waliło mi jak oszalałe. O czym on ciągle mówił?

– Czego mi nie powiedział? – spytałem ponownie.

– Głupiec myślał, że jeśli ucieknie do jakiejś panny i zmieni nazwisko, to dziedzictwo Wagnerów go ominie. Że odetnie się od tego! Cóż za głupiec! GŁUPIEC!

Zamarłem. O co mu chodziło? Skąd on znał mojego ojca? Czy to... Nie, to niemożliwe!

– Józef Nowicki. – Wincenty wypluł imię i nazwisko mojego ojca. – Małgorzata Nowicka. Katarzyna Nowicka. Sebastian Nowicki. Cóż za pospolite nazwisko. – Mężczyzna spojrzał na mnie, a ja zbliżyłem się jeszcze bardziej do zejścia. Byłem już tak blisko... – Nie uważasz, że twoje imię brzmiałoby o wiele lepiej z prawdziwym nazwiskiem? Sebastian Wagner... Tak, to brzmi dobrze.

Poczułem się, jakby zdzielił mnie tępym narzędziem w tył głowy. To przecież niemożliwe! Mój ojciec wychował się w tym potwornym miejscu, cierpiał każdej nocy,

widząc i słysząc te odrażające rzeczy? Mój ojciec uciekł stąd z ukochaną, spłodził z nią dwójkę dzieci, a na końcu powiesił się w garażu? Nie, to nie mogła być prawda...

– NIE! – krzyknąłem, a Wincenty spochmurniał jeszcze bardziej.

– Tak, kuzynie, to prawda – odparł. – Jednak muszę ci coś przyznać... Może i jesteś jak twój żaloszny ojciec, ale przynajmniej odziedziczyłeś naszą niezwykłą ciekawość do rzeczy bardzo osobliwych. To ona zaprowadziła cię w to miejsce, to ona ukazała ci prawdziwe oblicze naszej rodziny. – Wincenty spojrzał mi prosto w oczy, a ja poczułem, jakby zajrzał w moją duszę. – Powiadają, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Sebastianie, lecz ty wpadłeś w samo jądro.

Mój strach mieszał się z obrzydzeniem. Miałem dość tego miejsca i tego człowieka. Miałem dość wszystkiego. Chciałem tylko wrócić do domu i zapomnieć o tym.

– Rozejrzyj się! – rzuciłem mu z wyrzutem, wciąż przetwarzając tę koszmarną informację. – To chore! Te wszystkie ciała, te słoiki... Nie wspominając tych pieprzonych obrazów! O co tu chodzi?! Z czego Wagnerowie je robili?!

Wincenty uśmiechnął się szelmowsko.

– To miejsce jest straszne! – dodałem zrozpaczony. – Nie widzisz tego?!

– To ma być straszne? – Młody Wagner zaśmiał się nieprzyjemnie. – Masz szczęście, Sebastianie, że nie wszedłeś do piwnicy.

Zrobiłem krok w tył i poczułem, jak spadam gwałtownie przez otwór w podłodze. Wylądowałem twardo na drewnianej posadzce, a moją lewą nogę przeszył przeraźliwy ból. Krzyknąłem. Chyba ją złamałem, nie mogłem nią ruszyć.

Dom Wagnerów był teraz całkowicie oświetlony czerwonym światłem, a obrazy dobrze widoczne. Jeden z nich, przedstawiający pusty salon, zawierał teraz dwie postacie, które malowały coś na sztaludze, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem.

Usłyszałem wyraźne dźwięki grającego fortepianu.

Zacząłem czołgać się w stronę schodów, a po moich policzkach spływały łzy bólu i przerażenia. Czulem, że Wincenty schodzi po drabinie i zmierza w moją stronę. Z moich ust wyrwał się jęk.

W końcu dotarłem do schodów, jednak zanim zdążyłem złapać poręcz, coś lodowatego i szorstkiego chwyciło mnie za ręce i zrzuciło ze schodów jak szmacianą lalkę. Upadłem twarzą na podłogę, chyba łamiąc sobie nos. Boże! Ten potworny ból był nie do opisania, z trudem łapałem oddech. Staralem się podnieść, jednak nie miałem na to sił, nawet czołganie sprawiało mi trudności. Pełzłem więc, szurając desperacko twarzą i ciałem po podłodze.

Kątem oka widziałem, jak postacie z obrazów Wagnerów ruszają dziko głowami i rękoma, a inne wychodziły z nich i upadały ciężko na ziemię, po czym prostowały się i nastawiały wykrzywione kończyny.

Wyły, wrzeszczały, warczały. Boże, co za koszmar! To się nie dzieje naprawdę!

Dotarłem w końcu do drzwi, a przynajmniej tak mi się wydawało. Leżąc na ziemi, wsadziłem obolałą dłoń do kieszeni płaszcza, by znaleźć klucze i w końcu się stąd wydostać. Kiedy tylko poczułem ich metalowy chłód, nieznana siła rzuciła mną po raz kolejny i tym razem wylądowałem ciężko na plecach. Chyba połamałem połowę kości.

Przerażające maskary z obrazów dosłownie ożyły, zbliżały się pokracznie w moją stronę, zostawiając za sobą kałuże wody, śluzu i krwi. Płakałem rzewnymi łzami ze strachu i bezsilności. Tak bardzo chciałem wrócić do domu, do matki i siostry. Chciałem, by był przy mnie ojciec, by wyrwał mnie stąd, choć miałem świadomość, że jest to niemożliwe.

W oddali ujrzałem autoportret Wagnerów. Zakłęci w nim artyści patrzeli na mnie surowym wzrokiem, jakby smutni i zawiedzeni faktem, że odrzuciłem ich dzieło.

– Nie chciałem zrobić niczego złego! – wyrzuciłem z siebie resztkami sił. – Ja tylko chciałem napisać tę pieprzoną biografię! Proszę, pozwólcie mi wrócić do domu! Nie zabijajcie mnie!

Wincenty Wagner zszedł w końcu po schodach, a nieludzkie szkarady zatrzymały się i zrobił mu miejsce, wpuszczając na środek salonu. Ten tylko pokiwał ze smutkiem głową, po czym głośno cmoknął.

– Nie zabijemy cię, drogi Sebastianie, w końcu jesteś jednym z nas, czy tego chcesz, czy nie – powiedział niby zatroskany. – Jednak strach i obrzydliwość to bardzo osobliwa sztuka. Nie każdy powinien na to patrzeć.

Czułem, jak niewidzialna, zimna dłoń trzyma mnie za rękę, w której ścisnąłem klucze. Ich ostre końcówki zbliżały się nieubłaganie do mojej twarzy. Były coraz bliżej i bliżej... Zamknąłem oczy w przerażeniu. Ostatnim, co widziałem, były te obrzydliwe, szkaradne i monstrialne dzieła Wagnerowskich pędzi, które wpełzały gwałtownie do mojego umysłu.

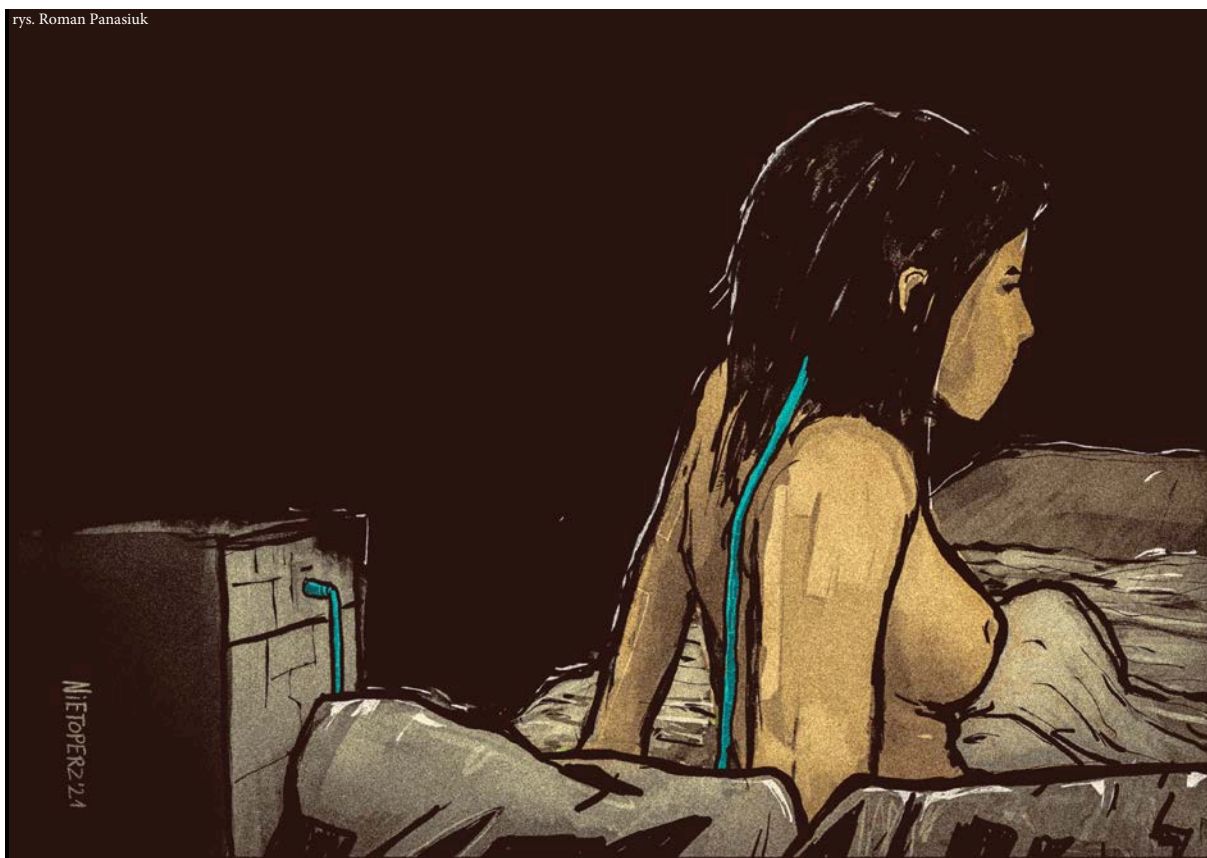
Boże, błagam, pomóż mi.

Przeszywający ból wypełnił moje gałki oczne, a błoga ciemność spowiła wszystko dookoła.

Przestronny salon Wagnerów rozbrzmiewał delikatnymi dźwiękami *Symphonie fantastique* Berlioza i głośnymi rozmowami zebranych. Elegancko ubrani goście ściskali w dłoniach kieliszki wypełnione ciemnoczerwonym winem i spoglądali w stronę schodów, z których schodził Wincenty Wagner. Głosy zamieniły się w szepty, kiedy mężczyzna krokiem pełnym gracji podszedł do stojącego na środku pokoju stelaża z zasłoniętym obrazem.

Wincenty uśmiechnął się szeroko. Po chwili ściągnął zasłonę, a wszyscy ciekawscy goście ujrzeli nowy, niezwykle realistyczny portret. Przedstawiał wrzeszczącego mężczyznę obdartego ze skóry, który wydłubywał sobie oczy ostrym i brudnym narzędziem. Jego zalana krwią twarz ukazywała przerażający grymas bólu i rozpacz, niespotykany dotąd w dziełach Wagnerów.

Goście przyglądali się osobliwemu obrazowi w długiej, niespokojnej ciszy przerywanej ostatecznie nagłymi oklaskami i gratulacjami, ku wielkiej uciechu Wincentego oraz zakłętego w autoportrecie małżeństwa Wagnerów.



FANTOM

Sergiusz Kołowrotny

1.

– Wstawaj, kochanie! Obudź się – delikatnie zaśpiewał na ucho Adama głosik kobiecy.
– Wstawaj, kochanie, spóźnisz się do pracy. Twoje śniadanie już czeka na ciebie!

Adam otworzył oczy i zobaczył pięknie serwowane śniadanie, które żona przyniosła mu prosto do łóżka. Z uśmiechem postawiła tacę w samym centrum ich ogromnego małżeńskiego łóżka, nachyliła się do niego i z miłością go pocałowała.

Mężczyzna uśmiechnął się z radością. I z przyjemnością przyciągnął piękną żonę do siebie.

Dzień zaczął się świetnie. Zresztą jak i poprzedni, i jak wszystkie inne od prawie pięciu lat, tego samego dnia, jak...

Już ubrany w idealnie wyprasowany garnitur Adam poklepał ręką po kieszeni. Dawny zwyczaj! Lubił czuć w swojej kieszeni delikatnie składany czterokrotnie bilet loterii. To jego talizman. To właśnie on przyniósł mu szczęście pięć lat temu.

Przechodząc przez garaż, Adam z miłością pogłaskał po bagażniku swój nowy samochód, ale usiąść nie zamierzał. Dzisiaj postanowił się przejść. Właściwie nie było daleko – jego biuro znajdowało się w pobliżu.

Uśmiechając się do wszystkich pieszych na ulicy, Adam powoli szedł na służbę, coś śpiewał, a nawet lekko kołysał aktówką.

Był kierownikiem urzędu pocztowego. Codziennie wykonywał te same czynności, powtarzalne, rutynowe. Ale zawsze z myślą o żonie. O tym, że ona czeka na niego w domu i na kolację przygotowuje coś smacznego, ozdobi stół bukietem kwiatów i świec. A w centrum będzie stać butelka dobrego czerwonego wina! A jeszcze będą dyskutować, dokąd pojedą latem swoim nowym kabrioletem w kolorze perłowej wiśni!

Bardzo chciał podzielić się swoim szczęściem z innymi. Powiedzieć o nim. Ale on nie mógł.

– Wie pan, to ręczny montaż, wyjątkowy model – szeptał mu do ucha pięć lat temu przedstawiciel firmy, ufnie patrząc w oczy. – Cholerne szczęście! Możesz stać się szczęściarzem, jednym na milion! Radujcie się swoim szczęściem. Ale jeśli dowiedzą się o tym inni... wszyscy będą chcieli!

I na wózku wywieziono główną nagrodę...

Dzwonek telefonu przerwał wspomnienia Adama.

– Kochanie, dzwoniła twoja mama, zaprasza nas w sobotę na kolację! – ćwierkała żona przez telefon. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że to zrobimy! – odpowiedział Adam.

– Jeszcze dzwoniła Monika. Oni z Pawłem będą jechać w rejs. Nie chcesz porozmawiać z szefem o wakacjach?

Adam wyobraził sobie śnieżnobiały statek wycieczkowy, krzyki mew, rozległe morskie przestrzenie... A jakie powietrze! Kto zrezygnuje z tego? Oczywiście, trzeba jechać!

Po zakończeniu pracy Adam szybko dotarł do domu. I już od progu poczuł wspaniały zapach pieczonego w sosie indyka.

Naprzeciw wyszła żona w wieczorowej sukni delikatnego kremowego koloru, pachnąca perfumami i jak zawsze – z uroczym uśmiechem na ustach.

– Dobry wieczór, kochanie! Mam nadzieję, że twój dzień minął dobrze. Nie jesteś bardzo zmęczony?

Pomogła mu się rozebrać, przyniosła domowe kapcie. A jego płaszcz odwiesiła w szafie.

Adam z przyjemnością strząsnął z siebie rutynę codziennych spraw, szybko przełączając się na przyjemne spędzenie wolnego czasu.

Żona żartowała, śmiała się, opowiadała zabawne historie, o których słyszała dzisiaj w telewizji. Adam też się śmiał, kiwnął głową, zgadzając się z tym, że sąsiedzi to nudni ludzie, a żona jego szefa zbyt piękna, aby nie mieć romansu, i że ich samochód – najpiękniejszy w okolicy!

Wieczór był wspaniały. We wszystkich aspektach. I Adam, kładąc się spać, zasnął w tej samej euforii, z której nie wychodził już pięć lat.

Obudziła go cisza. Adam zaczął przewracać się z boku na bok. Dopóki nie zrozumiał, o co chodzi. Żona leżała nieruchomo, a jej szeroko otwarte oczy patrzyły prosto w sufit. Ciało było już zimne...

Adam nerwowo drgnął, przypadkowo dotykając się zamrożonej i ciężkiej jak kamień ręki.

To był jedyny minus. Jeśli zapomniał wieczorem włączyć ją na ładowanie, w nocy mógł się obudzić obok prawie martwego ciała.

Przeklinając, zaczął w ciemności szukać przełącznika. Potknął się o nogę żony, która bezwładnie spadła z łóżka. Adam wściekł się jeszcze bardziej.

W końcu światło było włączone. Adam wyciągnął z szafki ładowarkę. Szybko znalazł z tyłu gniazdo wejścia, a następnie wsadził urządzenie w sieć.

– Dzień dobry, kochanie! – Żona natychmiast otworzyła oczy, lekko podnosząc się z łóżka.

– Nie, nie ruszaj się, kochanie! Jeszcze noc. Śpij! – Adam usiadł na krawędzi łóżka.

– Dlaczego nie śpisz? Czy wszystko u ciebie w porządku? – z miłością zapytała ona.

Adam kiwnął głową. I położył się, pociągając na siebie koc. I prawie niezauważalnie, trochę, by odsunąć się bliżej krawędzi...

2.

Sen nie przyszedł. I rano, z czerwonymi od bezsenności oczami, Adam szybko wypił filiżankę kawy i prawie nie zwracając uwagi na delikatną i najbardziej opiekuńczą w świecie

żonę, poszedł na służbę.

Od samego początku wszystko poszło nie tak. Adam był zły, zdenerwowany i nie mógł zrozumieć, co jest powodem. Co go niepokoiło. Co nie dawało spokoju?

Przecież mam wszystko, myślał. Jestem szczęśliwy, bogaty. Mam najpiękniejszą, mądrą... Tu Adam psychicznie potknął się. On jakoś nie mógł powiedzieć ani kobieta, ani żona. A więc kto?

Pięć lat temu z radością przyjął ten dar. Tak, wypadł mu szczęśliwy los na loterię. On dostał w jednej osobie – i żonę, i gosposię, i rozmówczynię, która była gotowa wraz z nim godzinami oglądać piłkę nożną, podawać piwo, kiedy przychodzili znajomi, wykonywać wszelkie fantazje! I nic, nic nie żądając w zamian!

A jednak jakiś niejasny alarm. Chodził w gabinecie z kąta w kąt.

Serce niespokojnie waliło. I w końcu zrozumiał, o co chodzi.

– Jesteś wolny? – Do gabinetu zajrzał jego stary przyjaciel, Maksymilian.

– Tak, tak, w samą porę! – Wzburzony Adam chwycił za rękę chłopaka i wciągnął do gabinetu. – Chcę cię o coś zapytać...

Maksymilian wygodnie usiadł w fotelu.

– Ty... ty... masz dzieci?

– Nie – z uśmiechem odpowiedział przyjaciel.

– Ale z Wictorią planujesz?

– Nie. A po co?

– Czyli jak?! A nie chcesz, żeby było jak u wszystkich? Szczęśliwa rodzina i dużo dzieci...

– O jakiej rodzinie mówisz? O jakich dzieciach?

– No, na przykład, jak... jak... – Adam zawahał się. I z przerażeniem uświadomił sobie, że nie zna ani jednej takiej rodziny.

Błady Adam spadł w sąsiedni fotel.

– My nie możemy mieć dzieci – powiedział Maksymilian, uśmiechając się. – Bo...

– O mój Boże – szepnął Adam – więc i u ciebie... żona... To znaczy, że u innych jest tak samo?! Zrozumiałem, jesteśmy szczurami z laboratorium! Na nas robią jakieś badania. Chcą, aby ludzie stopniowo wymierali!

– Musisz się uspokoić – spokojnie powiedział Maksymilian. – Nic strasznego nie ma. Chodźmy do baru na piwo, pogadamy!

Chwycił poręczy fotela, aby wspiąć się i... raptem Adam zobaczył na jego nadgarstku małą czarną kropkę.

Adam cofnął się. Wyskakując w drzwi, przebiegł korytarzem i znalazł się na ruchliwej ulicy, wśród ludzi śpieszących się do domu.

– Ratujcie! – krzyknął. – Ludzie! Chcą nas zniszczyć! Są wśród nas maszyny, roboty! Uważajcie na nich!

Ale na niego nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Każdy w tłumie był zajęty swoimi myślami.

– Wszystko sztuczne, nienaturalne! Nie ma nic żywego! I nic nie będzie. Bo z nieożywionych nie może urodzić się żywe! Rozumiecie to czy nie?! Ludzie! Ratuj...

Adam nie zdążył dokończyć zdania. Ostatnie, co poczuł, był cios pałką w głowę.

3.

– No, kto tak postępuje z naszymi wyrobami?! – z oburzeniem powiedział starszy siwy mężczyzna w białym fartuchu, pochylony nad stołem operacyjnym i szukający wgniecenia w czaszce pacjenta.

– Oni tylko wykonywali swoją pracę – odpowiedział mu młody, z gęstą chevelure, też w białym fartuchu. W rękę on trzymał śrubokręt. – To był najbardziej niezawodny sposób, aby wyłączyć zwariowany egzemplarz!

Siwy dezaprobatą pokręcił głową. Ale nic nie powiedział.

– Zobaczmy, co tam u niego.

Młody lekarz przyłożył śrubokręt do głowy Adama i połowa czaszki szybko spadła na podłogę. Oboje zerknęli do środka, ale nic nie zobaczyli – stamtąd wywalił się gęsty dym.

– Oho! Popatrz, jak przegrzał biedaczysko!

– Tak, gdzieś popełniliśmy błąd. Musimy wsadzić nową kartę i zainstalować program od nowa!

– Dobra. Tylko zrobmy przerwę na kawę. Wracamy za dziesięć minut, okej?

Siwy lekarz przeszedł wzdłuż szeregu leżących na stołach dokładnie takich „wyrobów”, dopóki nie dotarł do swojego fotela. Usiadłszy wygodnie, z westchnieniem odchylił się w fotelu. Następnie jego ręka szybko weszła do kieszeni, wyjęła stamtąd przewód i nie mniej szybko włożyła do gniazdka...



GOLEMIADA

Tadeusz Oszubski

Zobaczył światło. Nagle. Był zdezorientowany. Chciał ręką dotknąć twarzy, ale coś krępowało mu ruchy. Usta zatykał mu jakiś przedmiot. Knebel? Poczł strach. Oślepiający blask stopniowo zanikał, obraz nabrał ostrości. Był w pomieszczeniu, które chyba znał.

Naprzeciwko stał niewysoki krępy mężczyzna w średnim wieku. Twarz miał poczerwieniałą, oczy wytrzeszczone. Był wyraźnie podekscytowany. Coś krzyczał, ale słowa płynęły tak szybko, że nie można było zrozumieć o co chodzi.

Nadal nie mógł się poruszyć. Próbował przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Czy zna krzyżącego do niego człowieka? Nagle zdał sobie sprawę, że niczego o sobie nie wie. Kim jestem? Jak się nazywam? – przerażony pytał siebie w myślach.

Pokój, w którym go więziono, wydawał się znajomy. Także półka z książkami. I kanapa, na której leżały poduszki, a obok nich, z brzegu, duży pluszowy miś. Przypomnił sobie, że zabawkę dostał w dzieciństwie na Boże Narodzenie i nazwał ją wtedy Miśkołaj. Czy znaczy to, że teraz znajduje się w swoim mieszkaniu? Choć rozpoznawał detale, to miał wrażenie, iż jego dom jest gdzie indziej. Dlaczego pamięć go zawodzi?! Strach w nim narastał.

Stojący przed nim mężczyzna zamilkł. Wpatrywał się jednak uporczywie w więźnia. Cisza stawała się bardziej dokuczliwa niż niezrozumiały jazgot. Próbował sobie przypomnieć, kim jest. We mgłę niepamięci zamajaczyło imię, Trzynastka. Tak się nazywam? – spytał sam siebie w myślach. Potem z zakamarków wspomnień doszły kolejne miana: Jan i Wolski. Które z nich jest moje?! Nie wiedział.

Nagle krępy mężczyzna wyciągnął rękę. Brutalnie wepchnął głębiej coś, co dotąd knebłowało usta Trzynastki, Jana, czy może Wolskiego. Wtedy znów stała się jasność, po czym blask znikł, a pojawiło się zrozumienie. Z nim nadeszła władza nad ciałem.

Poruszył głowę. Oderwał lewą stopę od podłogi. Obrócił dłonie w nadgarstkach. Uwolnił się. Jednak nie do końca. Musiał uciec z tego mieszkania znanego z cudzych wspomnień, wrócić do domu. Wiedział już, jakie imię jest jego. I kim był mężczyzna, który go więził.

Trzynastka gwałtownie popchnął Jana Wolskiego, a gdy ten się przewrócił, ruszył przez pokój. Biegł nieporadnie. Wymachiwał rękami, by utrzymać równowagę. Mijając kanapę, strącił Miśkołaja, ale nie zamierzał się zatrzymywać. Sentymentalne wspomnienie i zabawka już go nie dotyczyły.

Przy kolejnych drzwiach nie wahał się. Rozkład mieszkania znał ze strzępów pamięci swego ciemniźcyela. Rzucił się do drzwi prowadzących na zewnątrz, otworzył je, wypadł na klatkę schodową. Zbiegł po schodach, choć nie tak szybko, jak by chciał, bo stopy ślizgały się na betonowych stopniach. Dotarł wreszcie do drzwi wiodących na ulicę. Poruszał się coraz sprawniej i wiedział, w którą stronę się udać. Gdzie jest jego dom. Tam będzie bezpieczny.

Nie może dopuścić, by Wolski go schwytał, by znów więził. Trzynastka zamierzał cieszyć się wolnością.

Jan Wolski wstał z podłogi. Gwałtowny upadek na chwilę go zamroczył. Otrząsnął się jednak i podążył za swym więźniem. Za swym dziełem, które miało być niewolnikiem doskonałym. Szybko jednak dostał zadyszki. Biegł po raz pierwszy od trzydziestu lat. Przed nim, w oddali, pomykała postać słabo widoczna w żółtym świetle lamp sodowych.

Ulice o tej porze były już puste i ciche, tupot stóp niósł się więc daleko. Jan Wolski, goniąc ledwie widzianą sylwetkę, był rozwścieczony. Zatkniętą go, roztrzaskam mu łeb, groził w myślach. Przeklinał też swój plan. Pomysł zrodzony przed miesiącem, zainspirowany tym, co cztery i pół stulecia wcześniej dokonał w czeskiej Pradze rabin Jehuda Low ben Bezalel.

Wolski mieszkał w trzypokojowym mieszkaniu w bloku. Samotnie od czasu, kiedy zmarła jego matka. Ojciec zniknął z życia Jana dużo wcześniej, gdy ten był jeszcze nastolatkiem. Narzędzie losu stanowiła ciężarówka, która na autostradzie zmiażdżyła starszego Wolskiego wraz z jego małym fiatem.

Jan pracował w banku. Najpierw bank był państwowy, potem prywatny. Wolskiego to nie obchodziło. Wciąż liczył te same pieniądze. Cudze. Ukończywszy pięćdziesiąty rok życia nadal zajmował się kontrolowaniem kasjerów. Pięć dni w tygodniu zmagął się ze stosami banknotów oraz liczbami. Po powrocie z pracy też analizował sekwencje cyfr i liter. Choć zajęcia były podobne, służyły innym celom. W banku Wolski szukał ludzkich nadużyć, w domu – dowodów istnienia Boga.

Ludzie w wieku Jana najczęściej mają żony, dzieci. Wolski nie założył rodziny. Ludzie miewają też rozmaite pasje. Jedni zbierają znaczki, inni damskie buciki lub wartościowe dzieła sztuki. Jan poznawał historię i kulturę Żydów.

Początkowo, w młodości, był to bunt przeciw matce. Buncik właściwie, bo Jaś robił swoje ukradkiem, ani myśląc stawać z matką oko w oko. Wolska bowiem obwinięła Żydów o każde nieszczęście, od wojen i huraganów po sprawy najbłahsze. Nasłuchawszy się tego, Jaś postanowił pewnego dnia ustalić, jak to największe na świecie zło wygląda. W szkolnej bibliotece niczego nie znalazł, ale w miejskiej księżnicy pomogła mu zatrudniona tam pani. Była młoda, ładna, miała czarne, kędzierzawe włosy i równie czarne oczy, jakby wiecznie rozmarzone. Od tamtego czasu Jan rozczytywał się w rozmaitych tekstach, analizach Tory, opowieściach chanukowych. Bunt młodzieńczy przeminął, ale zainteresowanie pozostało. Wolskiemu nie było łatwo mnożyć swoją wiedzę. Jednak niczym pies myśliwski, który gdy już zwęszy trop, to do zwierzyny trafi, tak i Jan właściwe dzieła znalazł. Krótco po śmierci matki Wolski trafił na książki poświęcone kabale.

Kabała to nurt ezoteryczny wyrosły z judaizmu. Istotę badań stanowi w niej magiczna siła kombinacji liter tworzących święte teksty. Za dnia więc Jan liczył pieniądze w banku, a wieczorami studiował Zohar. Rozczytywał się też w legendach kabały, także w opowieściach o golemie, ulepionej z gliny istocie w kształcie człowieka. Twór ten nie miał duszy, poruszał się jednak, naśladując ludzkie zachowania. Powoływało się go do życia, wymawiając odpowiednie słowa lub wkładając w usta figury szem, czyli kartkę z zapisanym zaklęciem. Bo litery to nie tylko symbole. Mają moc sprawczą. Nawet chrześcijanie to pośrednio przejęli, pozostawiając w kanonie biblijnym zapis, iż na początku było słowo.

Według kabalistycznej tradycji golem nie są tylko wspomnieniem starożytnych praktyk. Taki byt w połowie siedemnastego wieku miał stworzyć w czeskiej Pradze rabin Jehuda Low ben Bezalel. Rabin ulepił z gliny wielką postać człowieka, po czym ożywił ją, odprawiając tajemny rytuał. Golem jednak wymknął się spod kontroli Jehudy, zabił wielu ludzi i dokonał zniszczeń w Pradze.

Mnie golem by słuchał, myślał Wolski. Błędu bym nie popełnił. Fascynowała go możliwość ożywienia przedmiotu. Jednak na drodze powołania do życia golema stały dwie przeszkody. Po pierwsze Jan nie znał hebrajskiego, po drugie – nie miał manualnych zdolności. Już w szkole zmorą były dla niego zajęcia z wychowania technicznego. Kiedy dorósł, opanował jedynie sztukę wymiany przepalonych żarówek i obsługę komputera w stopniu podstawowym. Nie zamierzał jednak łatwo się poddać w sprawie golema. Hebrajski zaczął poznawać z samouczków, a przypominającą człowieka formę postanowił zdobyć już gotową.

Po długich rozmyślaniach, jak rozwiązać problem golemowego ciała, Jan zaczął odwiedzać sklepy odzieżowe. Jednak to, co tam widział, nie nadawało się do jego planu. Wreszcie trafił w miejsce, które go urzekło. Był to salon z markowymi strojami eksponowanymi na błyszczących manekinach odwzorowujących z elegancją sylwetki kobiet i mężczyzn. Wolski uznał, że któraś z tych plastikowych kukieł może pełnić rolę golema. Przecież w czasach rabina ben Bezalela glina była powszechnie dostępnym tanim materiałem. Dziś z powodzeniem zastąpiły ją tworzywa sztuczne, choćby w produkowaniu kubków, misek i innych użytecznych przedmiotów.

Choć z natury nieśmiały, Jan umyślił śmiały plan. By go zrealizować, wkradł się w łaski jednej z ekspedientek pracujących w wytypowanym salonie. Zaprosił ją na kawę, a kobieta nie odmówiła. Była to pierwsza od trzydziestu lat randka Wolskiego. Cel miał jednak inny niż w czasach młodości porywów serca.

Jan odniósł sukces. Zdobył manekina. Nie był on co prawda z tych olśniewających w witrynie, tylko mocno sfatygowany, ale zaprojektowano go z klasą i miał komplet części. Oznaczony na plecach liczbą trzynastą, od jakiegoś czasu walał się na zapleczu. Wolski skłamał ekspedientce, że manekina chce podarować matce, która do renty dorabia krawieckimi przeróbkami. Kobieta, chyba licząc na dłuższą znajomość z Wolskim, nie zastanawiając się, zaoferowała mu plastikową kukłę. Stwierdziła, że skoro manekina i tak przeznaczono do złomowania, to właściciel sklepu nie będzie miał za złe, że zbędny przedmiot jeszcze komuś się przyda.

Zgodnie z umową Wolski przyszedł wieczorem do salonu z odzieżą. Ekspedientka i plastikowa namiastka człowieka już na niego czekały. Powiedział kobiecie, że jest bardzo miła, pocałował ją w policzek. Następnie podkreślając, że matka chora, więc on bardzo się spieszy, zabrał swój łup. Na ulicy, przez telefon komórkowy, wezwał taksówkę, wcisnął manekina na tylne siedzenie i powiózł go do domu. Zdobył to, czego potrzebował. Ani myślał spotkać się jeszcze z ekspedientką. Zbyt wiele uwagi trzeba było jej poświęcać, a Jan był skoncentrowany na swym planie.

Wolski zaniósł kukłę na drugie piętro bloku, do swego mieszkania. Manekin ze sztucznego tworzywa był w środku pusty, więc ważył niewiele. Praski golem z gliny musiał być znacznie cięższy, jednak Janowi, który pamiętał kłopoty rabina Jehudy, plastikowa konstrukcja bardzo odpowiadała.

Pokój, w którym mężczyzna uczył się hebrajskiego, zawałony był kartkami z zapisanymi wersetami z Tory i Zohar. Efekt żmudnej, wielotygodniowej pracy, która teraz miała doczekać się zwieńczenia.

Miał to być wieczór najważniejszy dla Jana i manekina oznaczonego numerem trzynastym. Wszystko by uległo zmianie, bo także świat stałby się inny, niż był dotąd, skoro pojawiłoby się w nim sztuczne życie osadzone ezoteryczną wiedzą w plastikowym, niby ludzkim kształcie.

Wolski wniósł do pokoju nowy nabytek, uważnie go obejrzał. Zignorował zadrapania na twarzy kukły, zmartwiło go za to uszkodzenie lewej ręki manekina. Naprawił je superklejem, po czym zebrał rozrzucone dokoła kartki. Zakładał, że jedna z nich stanie się kluczem do realizacji planu. Wśród nich na pewno znajdował się szem, zaklęcie, które pozwala ożywić martwą materię.

Drżąc z niecierpliwości, wepchnął pierwszy z brzegu zwitek papieru w szparę stanowiącą usta manekina. Potem wyszeptał zaklęcie. Plastikowa postać ani drgnęła. Wolski wyjął z ust kukły kartkę. Sięgnął po następną. Przeczytał zapisany na niej wers, powtórzył

kolejne czynności. Nadal bez skutku. Przy dwunastej próbie, około pierwszej w nocy, Jan poczuł zniechęcenie. Niedbale wyrecytował magiczną formułę. Już chciał wyjąć kartkę z ust manekina, gdy nagle...

Kukła zacisnęła usta, tworząca je szpara zniknęła. Potem poruszyła się głowa. Malowane oczy spojrzały na twarz zaskoczonego człowieka.

– To żyje! – krzyknął Wolski, ale zdawszy sobie sprawę, że cytuje wypowiedź szalonego naukowca ze starego filmu grozy, zmienił ton. – Ty żyjesz! Wykonawca wszystkich moich rozkazów! Niewolnik najdoskonalszy!

Manekin zamarł, ani drgnął. Mężczyzna poczuł zawód. Czyżby ożywienie było tylko chwilowe? Moc tysiącletniego zaklęcia zwietrzała? Stan przygnębienia nie trwał jednak długo. Nagle golem podniósł stopę i przesunął ją w przód. Zrobił pierwszy krok, potem drugi.

– Stój! – krzyknął uradowany Jan, a widząc, że stwór nie reaguje, zastąpił mu drogę. – Stój, nakazuję ci! Masz mnie słuchać.

Manekin pochylił się, jakby gotując się do skoku, i zastygł w tej pozycji.

Wolski, zadowolony, że zapanował nad swym tworem, usiłował przypomnieć sobie wers zapisany na kartce włożonej w usta kukły. Nie mógł się jednak skupić. Jaki tekst tworzy szem? – pytał sam siebie. Lecz tajemne formuły krążyły chaotycznie w jego umyśle, splątane, zapamiętane tylko w części.

Nie było mu dane długo snuć tych rozważań. Golem ożył. Poderwał się. Popchnął człowieka, a gdy ten upadł, wybiegł z pokoju. Oszołomiony Jan słyszał oddalający się tupot plastikowych stóp w korytarzu, potem trzask otwieranych z rozmachem drzwi mieszkania.

– Jezus, Maria! – szepnęła, nie zwracając uwagi na ideologiczną sprzeczność swej reakcji z dotychczasowymi poczynaniami. Podniósł się z wysiłkiem i ruszył za swym dziełem, które odmówiło posłuszeństwa.

Bieg był morderczy, bo Wolski po raz pierwszy w życiu pokonywał pieszo drogę, którą od lat przemierzał autobusem.

Na ulicach przechodniów już nie było, samochody też rzadko przemykały. Brak świadków pościgu za kukłą był dla Jana jedynym pozytywnym sytuacją. Co ja zrobiłem, co zrobiłem, jęczał w myślach. Nagle dostrzegł w oddali dwie postaci. W słabym świetle latarni rozpoznał sylwetkę kobiety. Mówiła coś do drugiej osoby. Nie! Do manekina ściganego przez Wolskiego.

Trzynastka musiał się zatrzymać, bo kobieta, którą mijał, chwyciła go za rękę.

– Urwałeś się z imprezy? – powiedziawszy to, szczupła brunetka głośno się zaśmiała.
– A może jesteś dziewczyną? Przez ten strój z lateksu nie wiem, z kim mogę mieć przyjemność.

Golem zamarł. Odczuwał potrzebę powrotu do domu. Jednocześnie próbował ustalić, co w tej chwili się dzieje. Ze wspomnień Wolskiego wyłuskał te, które mogły wyjaśniać sytuację. Ta mała jest pijana, myślał, nie rozumiejąc znaczenia tych słów. Potem dostrzegł uwodzicielski uśmiech kobiety i przemknęło mu, że brunetka jest niczym Kirke napotkana przez Odyseusza w jego rejsie powrotnym do królestwa. Z uporem trzymała manekin za przegub. Trzynastka uznał, że natarczywa nieznajoma stanowi przeszkodę. Szarpnął się. Plastikowa dłoń została w ręku kobiety.

Brunetka wrzasnęła. Przerażona upuściła przedmiot na chodnik. Golem odwrócił się gwałtownie. Drugą ręką zadał kobiecie cios w twarz. Krzyk zamarł. Nieznajoma upadła na betonowe płyty. Trzynastka pochylił się, umocował wyrwaną dłoń. Spojrzał w kierunku, z którego przybył. Dostrzegł zbliżającego się Wolskiego. Spocony stwórca truchtał z uporem. Golem odwrócił się i ruszył do domu.

Przerażony Jan minął ciało leżące na chodniku. Nie zamierzał sprawdzać, w jakim stanie jest kobieta. Zbyt wiele czasu by to zajęło i zapewne straciłby z oczu uciekającego golema. Musiał schwytać ożywioną kukłę, usunąć z jej ust szem. Zrozumiał już, że popełnił jakiś błąd, niczym uczeń czarnoksiężnika. Wyrzucał sobie słabą znajomość hebrajskiego i to, że wiedzę o kabale miał powierzchowną. Coś poszło nie tak, a winą za to Wolski mógł obarczyć wyłącznie siebie.

Nagle tupot plastikowych stóp ucichł, manekin zatrzymał się. Zdyszany mężczyzna zaczął nadrabiać stratę w odległości. Był coraz bliżej kukły.

Manekin stał przed witryną sklepu. Przed salonem z odzieżą, skąd Jan go zabrał kilka godzin wcześniej.

Golem obrócił głowę. Malowanymi oczami patrzył na swego stwórcę. Wolski odniósł wrażenie, że na twarzy manekina odmalowane było szyderstwo. Zaraz jednak kukła przestała się interesować człowiekiem. Cofnęła się, wzięła rozbieg. Potem skoczyła w przód, prosto w okno wystawowe. Szyba pękła. Huk, trzaski, brzęk okruchów szkła, spadających na chodnikowe płyty.

Wolski zatrzymał się w pół kroku. Zdyszany, patrzył na zniszczoną witrynę. Tam, wśród przewróconych, kosztownie ubranych manekinów, przykucnął jego golem. Nagi, odrapany. Patrzył na Jana i najwyraźniej śmiał się z niego. Mężczyzna dostrzegł zwitek papieru zapisanego słowami z ezoterycznej księgi bielejący w plastikowej imitacji ust.

Nagle zawyła syrena. O krok od Wolskiego zatrzymał się radiowóz.

– Stać, policja! – krzyknął ktoś z pojazdu.

Dwaj funkcjonariusze sięgnęli po broń. Jan zamarł, widząc wycelowaną w siebie czarną lufę.

– Ty, w witrynie, podejdź tu! I bez gwałtownych ruchów, bo łeb odstrzelę – krzyknął drugi mundurowy, skupiając uwagę na golemie.

Trzynastka powoli wyprostował się, po czym niespiesznie ruszył w stronę policjantów. Dzięki wiedzy, jaka poprzez szem przeniknęła z pamięci Wolskiego, rozumiał sytuację, w jakiej się znalazł.

Zbliżył się do mundurowych i Jana. Był już kilka kroków od nich.

– Co to za przebieraniec? Panienska w lateksie? – spytał ze śmiechem jeden funkcjonariusz drugiego. – Państwo zamierzaliście popełnić w miejscu publicznym wykroczenie przeciw moralności?

Rozbawieni policjanci schowali broń do kabur.

– Wyjaśnimy to na komisariacie. Wsiadać do radiowozu. I bez numerów, bo was skujemy – wydał polecenie mundurowy, który wcześniej mierzył do Wolskiego.

Zaskoczony sytuacją Jan chciał zrobić, co mu kazano. Spojrzał na golema i zadrzał ze strachu. Poczuł zło emanujące z plastikowego tworu,

Trzynastka rozumiał, że grozi mu utrata wolności. Do tego nie zamierzał dopuścić. Nie grożono mu już bronią palną, która mogła zniszczyć jego ciało. Trzeba uciekać!

Jednak w korpusie z tworzyw sztucznych nie było serca, a w głowie – sumienia. Ożywiony manekin zdecydował, że zanim umknie, odpłaci swemu stwórcy za to, że miał być niewolnikiem.

Golem, mijając policjanta, nagle zadał cios. Wbił palce w szyję mężczyzny. Twardy syntetyk rozdarł ciało, chlusnęła krew z uszkodzonej aorty. Trzynastka kontynuował niszczycielskie dzieło. Zanim drugi funkcjonariusz zdążył sięgnąć po pistolet, plastikowa ręka rozdarła mu krtań.

Wolski był jak sparaliżowany. Z lękiem patrzył na mordercze wyczyny golema. Ten zaś przeszedł nad zwłokami policjantów, stanął przed swym stwórcą. Plastikowa twarz nabrała pozorów życia. Manekin uśmiechnął się złośliwie i wytarł zakrwawioną rękę w koszulę Jana. Następnie odwrócił się i kilkoma skokami dotarł do witryny salonu. Tam zatrzymał się na moment, posyłając ostatnie spojrzenie Wolskiemu. Ostentacyjnie poznał krwią jeden z przewróconych luksusowych manekinów. Potem znikł w głębi sklepu, w mroku.

Mężczyzna zamarł. Stał obok zamordowanych, nie wiedząc, co począć.

Chwilę później podjechał drugi radiowóz. Policjanci wyskoczyli z pojazdu. Nie zadając pytań, obezwładnili niestawiającego oporu, zakrwawionego Jana. Poczuł na nadgarstkach zimne, twarde obręcze. Po raz pierwszy w życiu miał na sobie kajdanki.

– Panie władzo, wszystko widziałam – krzyknęła jakaś kobieta z mieszkania w sąsiedniej kamienicy. Wystawiła głowę przez okno. Wskazywała palcem Jana. – Kraść przyszedł, menel jeden, a policjantów pozabijał! – perorowała jazgotliwie. – Najpierw szybę wybił, a potem chwycił manekina i waszych kolegów nim zatłukł! Wszystko widziałam!

– Czyli mamy mordercę. Do wozu! I żadnego wrywania się, bo będzie bolało! – warknął do Wolskiego jeden z policjantów.

Rzeczywiście, Jan próbował się wyrwać, ale nie by uciec, lecz złapać golema. By wydrzeć z niby ust szem, magiczny werset ożywiający to, co martwe. Nie mógł przecież dopuścić, by jego twór zabijał ludzi! Kukła jednak gdzieś się ukryła. Na wystawie sklepu pozostały tylko powalone, usiane okruchami szkła manekiny w luksusowej odzieży.

Policjanci zawlekli Wolskiego do radiowozu, wezwali przez radio wsparcie i ekipę śledczą. Jan zamknięty w samochodzie nie martwił się tym, co go czeka. W tej chwili miał za nic prawne konsekwencje. Rozważał, czy jego golem aby na pewno jest takim samym bytem, jak ten powołany do życia przez praskiego rabina. Co prawda skłonność do destrukcji ujawniła aż nazbyt dosłownie. Dlaczego jednak manekin pobiegł do tego właśnie sklepu? Uznawał to miejsce za dom? Jasne też się stało, że golem postanowił uwolnić się od swego stwórcy i egzystować samodzielnie. Dla Wolskiego najistotniejszym pytaniem było, jak długo szem utrzyma życie w plastikowej lalce wielkości człowieka. Nie znał odpowiedzi, co napawało go coraz większym lękiem.

Radiowóz ruszył. Wolski, na tylnym siedzeniu, z kajdankami na rękach, bił się z myślami. Potem zaczął wyjaśniać mundurowym, co się stało.

– Nie ma co udawać wariata. Jak nic dostaniesz dożywocie – mruknął w odpowiedzi policjant siedzący za kierownicą i dodał gazu.

W tej samej chwili zgasty najbliższe latarnie. Jan pomyślał, że to znak od Boga. Ciemność wokół i w myślach Wolskiego.

Trzynastka przyczał się. Stał w bezruchu, obserwując poczynania techników kryminalistycznych i śledczych. Gdy policjanci skończyli pracę, zabrano z miejsca zbrodni zwłoki i dowody, golem dyskretnie przeniósł się do magazynowego pomieszczenia na zapleczu. Czuł ulgę, bo nareszcie powrócił do domu.

Funkcjonariusze pilnujący salonu wpuścili do środka właściciela sklepu. Mężczyzna miał ocenić straty, by przekazać je firmie ubezpieczeniowej. Widać było, że przedsiębiorcę najbardziej zmartwiła stłuczona witryna. Choć zapewne wypłacą mu zwrot kosztów, to przecież był kłopot. Trzeba natychmiast wstawić wielką szybę, by zabezpieczyć sklep i by od rana interes mógł znów się kręcić.

Właściciel, rozejrzawszy się po sali, ruszył na zaplecze. Chciał sprawdzić, czy grasowali tam włamywacze. Odetchnął z ulgą, ustalwszy, że sklepu nie obrabowano. Jediną niespodzianką stanowił manekin numer trzynaście, którego znalazł w kącie magazynu. Kukła była bardziej pokierszowana, niż to zapamiętał. W głowie i korpusie tkwiły głęboko wbite kawałki szkła.

– Kto cię tak sponiewierał? – spytał retorycznie mężczyzna, wyciągając z plastiku okruchy stłuczonej szyby. – Koniec służby, mój panie. Czas cię spisać z ewidencji i złomować.

Przedsiębiorca nie zdawał sobie sprawy, że groziła mu śmierć.

Golem nie reagował. Trwał w bezruchu. Co prawda przez moment czuł narastający gniew, jednak się opanował. Uznał, że nie zabije teraz mężczyzny. Poczekaj na właściwy moment. Gdybym nauczył się mówić, mógłbym zastąpić tego człowieka, pomyślał. Sporo wiedział dzięki pamięci Wolskiego, jaką przeniósł szem, jednak nie znał jeszcze wszystkich swych możliwości. Udawał więc na razie zepsutą kukłę z witryny sklepowej, by móc później cieszyć się wolnością.

Był z siebie zadowolony. Dzięki sprytowi i stosując przemoc, pozbył się swego stwórcy. Nikt mnie już nie powstrzyma, myślał tryumfalnie Trzynastka, nikt nie wie, kim jestem. Inni ludzie, nawet ci uzbrojeni, nie stanowią zagrożenia. Mają przecież miękkie, nietrwałe ciała. Łatwo ich zaskoczyć, bo nie potrafią wyobrazić sobie, że plastikowy manekin może ich zamordować. Golem przyrzekł sobie, że będzie żył jak najpełniej. I wiecznie. Choć jeszcze nie wiedział po co.

Post scriptum:

„Wirtualna Polska”, 21 października 2009 roku

Policjanci z Barlinka w woj. zachodniopomorskim zatrzymali 32-latkę, który uwziął się na kobiece manekiny. W poniedziałek ukradł manekina sprzed jednego ze sklepów odzieżowych. Robił to – jak podaje policja – „w warunkach recydywy”, bo tydzień temu

również dokonał podobnej kradzieży. Amator niecodziennych łupów został złapany, kiedy z manekinem na plecach przemierzał miasto.

Do pierwszego zdarzenia doszło tydzień temu. Wówczas jeden ze świadków powiadomił telefonicznie, że widział moment kradzieży manekina wystawowego ustawionego przed jednym ze sklepów. Złodziej był widziany, jak biegł z manekinem przez miasto. Właściciel sklepu prezentował na nim oferowaną do sprzedaży damską odzież (spodnie, bluzkę i płaszcz) o łącznej wartości 346 złotych.

Policjanci zatrzymali mężczyznę, odpowiadającego rysopisowi, ale z pustymi rękami. Łup znaleziono w przepływającej przez miasto rzeczce Płoni. W ubiorze brakowało płaszcza. 32-letni mieszkaniec powiatu myśliborskiego usłyszał zarzut kradzieży.

W poniedziałek kradzież się powtórzyła – tym razem manekin ubrany w damskie rzeczy (kurtkę, koszulę i szalik o wartości ok. 400 zł) zginął sprzed innego sklepu. Mężczyzna został zatrzymany. Trafił do policyjnego aresztu. Wstępnie przyznał się już do kradzieży, jednak manekina dotąd nie odnaleziono.

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)



HOTEL ADLER

Camille Gale

Na moment, gdy wyjedzie wreszcie z zatłoczonego Nowego Jorku, Eric czekał od kilku dni. Ostatnie miesiące w mieście, które nigdy nie śpi, porządnie dały mu w kość. Ostatnimi czasy nie sypiał zbyt wiele, a jeśli już – to niezbyt dobrze.

Rozwód z Karen nie okazał się dla niego wydarzeniem, które zgodnie z najnowszą modą chciałby świętować niemal równie hucznie jak wesele. Nie było szampana ani drogich prezentów z okazji nadejścia kolejnego etapu w życiu. Nie. Były za to niezliczone kłótnie z ekszöną o podział majątku oraz utrata pracy.

Z ulgą opuścił więc Nowy Jork i ruszył na Północ. Początkowo zakładał, że zrobi przystanek w Albany, gdzie mieszkał Reid, jego dawny przyjaciel ze studiów, z którym wkrótce po rozwodzie odnowił kontakt przez Facebooka. Ostatecznie jednak wybrał inną trasę. Poinformował kolegę, dokąd się wybiera i obiecał wstąpić do niego w drodze powrotnej. Postanowił nie dekoncentrować się przed wykonaniem zadania, jakie czekało na niego w miejscu docelowym, i po krótkim namyśle zdecydował, że miasto słynące z opatentowania papieru toaletowego w rolce, będzie musiało jeszcze poczekać na jego wizytę.

Jako bezrobotny fotograf krajobrazu miejskiego, którego oszczędności topniały w zastraszającym tempie, Eric postanowił wziąć udział w konkursie fotograficznym zatytułowanym „Niszczące piękno”. Nagroda za zajęcie pierwszego miejsca pozwoliłaby mu na poprawę sytuacji finansowej. Pomysł na zrobienie zdjęcia wiązał się z fascynacją względnie nowym nurtem w fotografii – zwanym potocznie i dość dosadnie – *ruin porn*. Choć dla pasjonatów tego rodzaju zdjęć Nowy Jork był kopalnią możliwości, Eric poszukiwał czegoś bardziej oryginalnego. Oczywistym kierunkiem stało się Detroit. Znajdowały się tam szczególnie interesujące budowle w stylu *art déco* z początku dwudziestego wieku, dziś już opuszczone i zrujnowane. Taka wycieczka wymagała jednak większych nakładów finansowych, których po prostu nie miał. Musiał zadowolić się zorganizowaniem sesji zdjęciowej w znacznie mniejszej i położonej dużo bliżej miejscowości.

Tak się składało, że odkąd kilka tygodni wcześniej przeczytał o upadłych hotelach w Sharon Springs w hrabstwie Schoharie, nie mógł przestać o nich myśleć. Tematyka idealnie wpasowywała się w motyw przewodni konkursu. Sfotografowanie hoteli może nie było przedsięwzięciem porównywalnym do uwiecznienia skarbów Detroit, za które mógłby otrzymać fotograficzną nagrodę Pulitzera, ale z pewnością miało pewien potencjał. Mroczne ruiny niegdyś tętniących życiem budynków wydawały się idealnym tematem sesji. Do tego, po trudnych miesiącach spędzonych w ponurym Nowym Jorku, wycieczka do Sharon Springs stanowiła doskonałą odskocznnię od nagromadzonych problemów. Z dala od zgiełku wielkiego miasta Eric miał nadzieję nie tylko utrwalić na zdjęciach duszę zrujnowanych hoteli, lecz także wejrzeć we własną.

Gdy po trzech godzinach drogi wjechał do miasteczka, o którym myślał od kilku tygodni, poczuł dziwną ekscytację. Miejscowość nie była całkowicie wymarła, ale od razu dało się zauważyć, że lata jej świetności już dawno przeminęły. Sharon Springs wyglądało na opustoszałe.

Eric wiedział, że pod tutejszą ziemią występują gorące źródła, pełne minerałów takich, jak magnez, żelazo czy siarka. To właśnie dzięki temu miasteczko rozkwitło w dziewiętnastym wieku, gdy wśród arystokracji modne stały się wyjazdy kuracyjne do wód. Powstałe wówczas liczne hotele i łaźnie stanowiły odpowiedź na wzmożony ruch turystyczny. Ciekawostką jest fakt, że po II wojnie światowej hotelom w Sharon Springs rząd niemiecki dopłacał w ramach reparacji, by przyjmowały pod swój dach Żydów ocalałych z Holokaustu.

Mężczyzna postanowił, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przygodę w Sharon Springs rozpoczął od wizyty w jadłodajni. Chciał zaspokoić głód po podróży i zasięgnąć języka u lokalsów na temat sławnych ruin. Przy okazji zamierzał wypytać ich o możliwość najtańszego noclegu. Nauczony doświadczeniem, wolał rezerwować nocleg po dotarciu na miejsce w oparciu o informacje uzyskane od miejscowych.

Wybrał – choć wielkiego wyboru i tak nie miał – jadłodajnię Main Bar & Bistro, usytuowaną przy MainStreet, głównej ulicy tej niedużej miejscowości. Była to niewielka restauracja urządzona skromnie, lecz gustownie. Eric usiadł przy barze i zamówił naleśniki z syropem. Mieszkańcy miasteczka przebywający w jadłodajni przyglądali mu się z zaciekawieniem. Facet przy barze spoglądał na niego ukradkiem, a barmanka zaczęła go, zanim sam zdążył do kogoś zagadać.

– Proszę nie przejmować się ciekawskimi spojrzeniami. Ktoś spoza Sharon Springs zawsze wzbudza zainteresowanie – zagaiła i podała Ericowi talerz z naleśnikami.

– W porządku. – Eric uśmiechnął się do niej i odczytał z plakietki na jej piersi imię Mindy. – Nie przeszkadza mi zainteresowanie. Właściwie to ja sam chciałem porozmawiać z mieszkańcami.

– Och? – zdziwiła się.

Siedzący dwa miejsca dalej starszy facet z długimi siwymi włosami i równie bujną siwą brodą przysłuchiwał się rozmowie z zaciekawieniem. Już nawet nie udawał, że czyta rozłożoną przed sobą gazetę.

– Chciałbym porobić zdjęcia opuszczonym hotelom – zaczął ostrożnie Eric. – Może ktoś mógłby mi doradzić, który z nich jest najbardziej zniszczony.

– No tak. – Mindy westchnęła, jakby coś takiego słyszała już tysiące razy. – Zawsze chodzi o te cholerne hotele. A już myślałam, że to jakaś ciekawsza historia.

Erica rozbawiło jej rozczarowanie.

– Możesz pan zacząć od The Empire albo hotelu Washington – wtrącił się długobrody, który przyglądał się Ericowi w sposób wywołujący ciarki. – Tam łatwo wleźć przez rozbite okna znajdujące się na parterze.

– Słyszałem, że najsłynniejszy jest Adler. Czemu nie zacząć tam?

– Adler... Adler... – Brodacz pokręcił głową z dezaprobatą. – Wszyscy chcieliby iść do Adlera, a potem uciekają z podkulonym ogonem. Wiesz pan, że tu pod nami są pokłady siarki?

Eric przytaknął niepewny. Nie wiedział, dokąd starzec zmierza ze swoim dziwnym wywodem.

– No to już panu mówię. Pod Adlerem musi być tego jeszcze więcej. Ten hotel to wrota do piekieł. Siarka znajduje się tam nieprzypadkowo – kontynuował brodaty mężczyzna.

Eric uśmiechnął się pobłaźliwie. Starzec najwyraźniej był szalony.

– Chyba nie sądzi pan, że ta siarka to taka diabelska, piekielna? – dopytywał fotograf.

– A co ja właśnie powiedziałem? Nie słuchasz pan! Nikt nigdy nie słucha, a potem zawsze kończy się tak samo. W Adlerze nie znajdziesz pan tego, czego szukasz. Tam jest tylko zło.

– Rozumiem – odparł Eric coraz bardziej zafascynowany i postanowił, że swoją małą misję zacznie właśnie od Adlera.

– A poza tym – dodał brodacz – ten hotel został wykupiony przez koreańskich inwestorów już jakiś czas temu. Teoretycznie więc jest to teren prywatny.

– Dziękuję za ostrzeżenie. A gdzie mógłbym się zatrzymać na nocleg? Szukam możliwie najtańszej opcji.

– Najlepiej w Paradise Inn, to tuż za rogiem, na Washington Street – poradziła Mindy. – Jest wspólna kuchnia, ale pokoje są klimatyzowane i mają Wi-Fi.

– Taaa – wtrącił się znowu staruszek. – Zamieszkaż pan w raj¹, a tylko patrzeć, jak polecisz pan do tego piekła.

Myśl, że starzec tak łatwo go przejrzał, zaniepokoiła Erica, ale mimo to nie zamierzał zmieniać swoich planów. Prawdę mówiąc, ostrzeżenia o wrotach piekieł jeszcze bardziej go nakręciły. Postanowił udać się do zniesławionego hotelu od razu, jeszcze zanim załatwi sobie

¹Gra słów, z ang. *paradise* – raj.

nocleg. Szybko dokończył naleśniki. Podziękował za informacje, zapłacił za posiłek, i zostawił skromny napiwek.

Jadłodajnię od hotelu Adler dzieliły trzy minuty drogi autem, podczas których Eric utwierdził się w przekonaniu, że Sharon Springs to prawdziwe zadupie. Mimo sierpniowego słońca na głównej ulicy miasteczka nie dostrzegł nikogo. Trudno było sobie wyobrazić, że sto pięćdziesiąt lat temu zjeżdżali się tutaj najbogatsi obywatele kraju, z prezydentami Grantem i Rooseveltem na czele, a Oscar Wilde wygłosił nawet wykład w tej małej miejscinie. Niebywałe. Może faktycznie pod ziemią kryło się tu coś nie z tego świata.

Gdy skręcił z Main Street w króciutką Adler Avenue, jego oczom niemal natychmiast ukazał się bohater rozmowy z jadłodajni – hotel Adler w całej swojej krasie. Ogromny biały budynek o monumentalnej architekturze wydawał się nie pasować do tej zabitej dechami dziury. Jakby ten moloch wyrósł tutaj przez pomyłkę zamiast w jakimś wielkim i obleganym kurorcie. Porażające piękno hotelu utwierdziło Erica w przekonaniu, że podjął dobrą decyzję o rozpoczęciu pracy właśnie tutaj.

Zaparkował samochód pod drzewami w pewnej odległości od hotelu i ze sprzętem na ramieniu ruszył w kierunku obiektu. Delikatne czerwone zdobienia wokół wejścia odznaczały się od wszechobecnej bieli. Były niemalże hipnotyzujące. Mężczyzna wyjął aparat i zrobił pierwsze zdjęcie. Poczul, że przyjazd tutaj to jedna z najlepszych rzeczy, jakie przytrafiły mu się w ciągu ostatnich miesięcy.

Nie oczekiwał, że uda mu się wejść przez drzwi frontowe, ale postanowił chociaż spróbować, zanim ruszy na poszukiwanie innych, bardziej kłopotliwych sposobów dostania się do środka. Po zrujnowanych schodach wszedł na niewielkie podwyższenie prowadzące do wnętrza budynku. Zwieńczone łukiem wielkie i przeszklone drzwi ustąpiły bez większego oporu. Eric przestąpił próg hotelu i wkroczył do zupełnie innego świata.

Spodziewał się zniszczonych mebli, poobdzieranej tapety, potłuczonych lamp i walających się wszędzie śmieci. Tymczasem wielki hol wyłożony burgundową wykładziną okazał się... całkowicie odnowiony. Ściany zostały odmalowane na beżowo, po obu stronach od wejścia ustawione były kanapy i fotele obite czerwonym zamszem. Fantazyjne żyrandole wyglądały na dopiero co zawieszane, a wiatraki sufitowe pracowały leniwie, walczyły z sierpniowym upałem. Za blatem odremontowanej recepcji stał młody mężczyzna, który uśmiechał się zachęcająco do Erica.

– Robi wrażenie, prawda? – zapytał przyjaźnie i wykonał ręką gest wskazujący całość holu.– Jestem Joseph – przedstawił się, nie czekając na odpowiedź gościa.

Eric przyjrzał się rozmówcy. Joseph był wysokim, dość młodym, na oko dwudziestopięcioletnim, mężczyzną o szczupłej budowie ciała. Przydługie, czarne jak atrament włosy opadały mu na bladą twarz o charakterystycznych, ostrych rysach i orlim nosie. Miał wesole zielone oczy, ale jednocześnie jego spojrzenie było przeszywające. Beżowa kamizelka założona na białą koszulę sprawiała wrażenie odzienia pochodzącego z zamierzchłych czasów. *Wygląda jak młody Adrien Brody, który zszedł z planu jakiegoś filmu historycznego*, pomyślał Eric zaintrygowany.

– Eric – odpowiedział fotograf również tylko imieniem. – Myślałem, że... – zawahał się niepewny, czy może zdradzić chłopakowi, że chciał się tu włamać, by porobić zdjęcia ruinom hotelu. Hotelu, który zdecydowanie nie był już ruiną. Przynajmniej nie w środku.

–... że zastaniesz tutaj coś innego? – podpowiedział usłużnie Joseph. – Tak, wyobrażam sobie. – Uśmiechnął się znacząco, po czym kontynuował. – Adler został wykupiony przez koreańsko-amerykańską firmę i przed oczami masz pierwsze efekty stopniowej renowacji. Wyższe piętra są nadal w opłakanym stanie.

Joseph wyszedł zza lady recepcyjnej i podszedł do Erica pewnym krokiem. Jego ruchy były eleganckie, niemal kocie. Emanowała od niego jakaś dziwna energia.

– Cóż, trochę zburzyło mi to plany – przyznał Eric. – Czemu się o tym nie mówi? Pytałem mieszkańców, chyba nikt nie wiedział, że hotel jest już odnawiany. Niczego mi nie powiedzieli.

– Nie chwalimy się tym wszem wobec, a Adler położony jest na uboczu, więc mało kto interesuje się tym, co się tutaj dzieje. Przynajmniej mało kto z mieszkańców Sharon Springs.

– Może to zbyt wiele, ale muszę zapytać, bo przyjechałem po to aż z Nowego Jorku... Jestem fotografem i zastanawiałem się, czy mógłbym zrobić kilka zdjęć nieodnowionej części hotelu? Zanim remont postąpi dalej? Możesz udzielić mi takiej zgody, czy powinienem zgłosić się z tym do kogoś innego?

Joseph przekrzywił lekko głowę. Świdrował Erica wzrokiem. Na bladej twarzy recepcjonisty widniał lekki półuśmiech ... Przeróżający, a jednak fascynujący.

– Mogę i udzielę ci takiej zgody. Zrobię nawet coś więcej, panie fotografie z Nowego Jorku... – Psotne iskierki zatańczyły w oczach Josepha. – Pozwolę ci tutaj przenocować. Pierwsze piętro jest odnowione. Jeśli zechcesz, będziesz pierwszym gościem. Zupełnie za darmo.

Te słowa zaskoczyły Erica. Nawet nie przeszło mu przez myśl, by poprosić o możliwość noclegu w Adlerze. Hojna oferta wydawała się wyjątkowo osobiwa.

Niespodziewana i nieco podejrzana, ale jakże kusząca. Nie musieć płacić za nocleg... Propozycja spadła jak manna z nieba.

– Okej... – Słowo samo wyszło z ust przyjeźdnego.

–Świetnie! – Joseph ucieszył się i klasnął w dłonie. –W końcu będę miał z kim pogadać.

Coś poruszyło się na krawędzi pola widzenia Erica. Szybkie mażnięcie pędzlem, jakby rozmazany kształt, po prawej od nich, tuż przy schodach na piętro. Odwrócił głowę w tamtym kierunku, ale nikogo nie zobaczył.

– Czy jest tutaj ktoś oprócz nas? –zapytał i rozejrzał się po holu.

Joseph uniósł brew i uśmiechnął się tajemniczo.

– Tylko ty i ja – powiedział, zniżając głos i nachylił się konspiracyjnie do Erica. – I energia tego wspaniałego hotelu.

Zielone oczy recepcjonisty zdawały się hipnotyzować Erica. Uwięziły go w dziwnej niemocy. Dopiero po chwili fotograf wzdrygnął się i wyrwał z odrętwienia.

– Tymczasem zrób zdjęcie holu, bo widzę, że aż cię roznosi. Potem idź po bagaż i pozwolę ci wybrać pokój.

Eric był niemal pewien, że pod wieloma względami Paradise Inn stanowił lepszy wybór, mimo to posłuchał polecenia. Zrobił zdjęcie i posłusznie poszedł do samochodu po swoją torbę podróżną. Gdy wrócił, Joseph poprosił:

– Bądź tak miły i zamknij za sobą drzwi.

Tak też zrobił, a następnie zafascynowany ruszył na piętro za bladym chłopakiem poruszającym się z gracją kota.

Pierwsze piętro okazało się w całości wyremontowane. Żadnej łuszczącej się farby na ścianach, żadnych prac w toku, wszystko wyszykowane na tip-top. Drzwi do poszczególnych pokoi pozostawały otwarte, dzięki czemu Eric miał okazję przyjrzeć się ich wnętrzom. Nie były urządzone w jednakowym stylu. Każde pomieszczenie miało swój własny niepowtarzalny charakter, jednak dominowały trzy główne kolory: czerwień, zieleń i beż.

Eric zrobił kilka zdjęć odnowionych pokoi. Dla siebie wybrał niewielki apartament na końcu korytarza, utrzymany w całości w tonacji zielonej. Urzekł go w nim wiszący na ścianie obraz przedstawiający zebry w biegu.

Nawet się nie rozpakował. Spieszyło mu się, by porobić zdjęcia zniszczonym przez czas górnym piętrom. Joseph nie odstępował fotografa nawet na krok. W końcu wkroczyli do mrocznej części hotelu. Eric czuł się rażniej, gdy miał towarzystwo, a przy okazji mógł wypytać chłopaka o nurtujące sprawy.

– Jaką właściwie pełnisz tu funkcję, jeśli mogę spytać? – zaczął, ustawiając parametry aparatu tak, by w pełni wykorzystać wystrój rodem z horroru.

– Jestem do tego miejsca dość... przywiązany. Powiedzmy, że pilnuję, by nie dostał się tu nikt nieodpowiedni. – Mruknął do Erica porozumiewawczo.

– A jednak wpuściłeś mnie, a nawet zaoferowałeś nocleg.

– Wniosek nasuwa się sam, prawda? Widocznie uważam, że jesteś odpowiedni.

Eric nie wiedział, co mógłby na to odpowiedzieć. Skupił się więc na robieniu zdjęć, choć wciąż coś go nurtowało. Joseph zaczął nucić jakąś wesołą piosenkę.

– Gdzie jest ekipa remontowa? Sprzęt? –Kontrast między pierwszym piętrem, a tym, co miał przed sobą, był naprawdę niesamowity. Nowiutkie pokoje na dole i ruiny wyżej. Było w tym coś surrealistycznego. Zderzenie dwóch światów.

– Mamy chwilowy przestój – odparł nonszalancko chłopak i zmienił temat.– To miejsce ma swoją mroczną historię. Wiesz, że po wojnie sprowadzano tu Żydów, którzy przetrwali Holokaust?

– Obiło mi się o uszy – przyznał fotograf.

– Z jednego piekła do drugiego...

– Co masz na myśli? –Eric odsunął twarz od aparatu ustawionego na statywie i spojrzał na Josepha. –Przecież mieli tu chyba niezłe warunki? Adler był luksusowym hotelem.

– Och, tak. –Chłopak machnął ręką lekceważąco. –Pewne sprawy nie były jednak akceptowane nawet tutaj. To były inne czasy. Niektórzy cudem przetrwali wojnę, tylko po to, by potem palnąć sobie w łeb.

Eric milczał. Znowu nie wiedział, jak skomentować tę ponurą ciekawostkę. Niezrażony tym Joseph wrócił do wesołego podśpiewywania. Jego czysty głos rozchodził się między połamanymi krzesłami, przewróconymi stołami a obdrapanymi ścianami i przyprawiał fotografa o gęsią skórę.

Po zakończeniu pierwszej sesji zdjęciowej, Eric wybrał się na kolację do Main Bar & Bistro. Nie miał ochoty dzielić się tym, co spotkało go w Adlerze, więc z radością przyjął fakt, że tym razem za ladą stała inna kelnerka, a brodacza nie było wcale. Pospiesznie zjadł

posiłek. Wrócił do hotelu, gdy zapadł już zmrok. Joseph stał za kontuarem w recepcji, zupełnie tak jak przed kilkoma godzinami.

– Udam się już do pokoju, jestem zmęczony. – Gość hotelu poczuł się zmuszony do wyjaśnień w odpowiedzi na jowialny uśmiech, którym obdarzał go recepcjonista.

– Oczywiście. Dobrej nocy, panie fotografie z Nowego Jorku. – Joseph nie przestawał się uśmiechać.

Eric zaczynał czuć się coraz bardziej nieswojo, ale było już za późno na zmianę planów noclegowych. Poza tym, czym mógłby ją uzasadnić? Tym, że po zmroku Adler zaczynał go trochę przerażać? Adler, a może... Joseph?

Gdy szedł korytarzem do swojego pokoju, żarówka w jednym z kinkietów zaczęła migać jak szalona, by po chwili zupełnie zgasnąć. Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. Gdyby to był horror, mrugające żarówki byłyby wyjątkowo tanim chwytem. To pomogło mu otrząsnąć się z ponurych myśli.

Wziął prysznic, jednak wcale nie poczuł się czystszy. Zrezygnował z przeglądnięcia zrobionych wcześniej zdjęć i położył się do łóżka. Głęboka cisza panująca w Adlerze uspiła go szybciej, niż przypuszczał, że to możliwe.

Nie wiedział, ile czasu minęło, gdy obudziło go dziwne przeczucie, że coś jest nie tak. Było mu duszno, musiał uspokoić oddech, tak jakby śniło mu się coś bardzo złego, choć zupełnie nic nie pamiętał. Przez moment miał wrażenie, że widzi w pokoju jakąś postać, ale kiedy zapalił lampkę, nikogo nie zobaczył. Jednak niezwykle wrażenie czyjejś obecności pozostało. W końcu Eric usłyszał ni to męski, ni to kobiecy głos dochodzący spoza jego pokoju:

– Eric... Eric...

Mężczyzna zadrżał. Na czole perliły mu się krople potu. Czuł się, jakby to wszystko nie działo się naprawdę, jakby znalazł się w jakimś alternatywnym świecie, gdzie czas biegnie w zwolnionym tempie. Nie potrafił też zignorować dziwnego głosu, który, mimo że dochodził z oddali, wdierał się do jego duszy. Ericowi wydawało się, jakby ktoś szeptał mu bezpośrednio do ucha.

Wstał z łóżka, włożył T-shirt, podszedł do drzwi i powoli uchylił je na tyle, by móc wyjrzieć na korytarz. Wrażenie nierealności nie ustępowało. Światła były pogaszone, ale z jednego z pokoi sączyła się poświata, dzięki której fotograf mógł dostrzec, że na korytarzu nikogo nie ma. Wołający go głos ucichł.

Powinien wrócić do pokoju i położyć się spać, o ile to wszystko nie było snem, ale ruszył powoli w kierunku światła. Krok za krokiem, uderzenie serca za uderzeniem serca.

Jakby przedzierał się przez smołę. Gdy w końcu dotarł do celu, był już mokry od potu. Drżącą ręką odchylił mocniej drzwi, by zajrzeć do tajemniczego pokoju. Wrota skrzypnęły złowieszczo, niemal groteskowo. A przecież były odnowione...

Joseph siedział na łóżku, o którego ramę opierał się wygodnie. Kamizelkę i koszulę miał rozpięte, podobnie jak spodnie. Długie nogi rozrzucone na pościeli trzymał lekko ugięte w kolanach. Chłopak masturbował się powoli i obserwował przybysza leniwym wzrokiem. Jego oczy nie były już zielone, lecz niemal czarne. To musiał być efekt rozszerzonych źrenic.

Joseph nie zawstydził się, nie zasłonił i przede wszystkim nie zaprzestał tego, co robił. Eric uświadomił sobie, że recepcjonista, gdy go zobaczył, wręcz przyspieszył ruchy swojej dłoni. Charakterystyczny dźwięk towarzyszący wykonywanej przez chłopaka czynności rozchodził się w ciszy i sprawiał, że pokój wydawał się coraz ciasniejszy.

Ciaśniej, ciaśniej... Eric spojrzał w dół na swoje bokserki, a potem jeszcze raz na Josepha. Coś przemknęło po korytarzu i fotograf znowu usłyszał ten sam głos:

– Tylko ty i ja...

A jednak coś mieszkalo w tym hotelu. Eric odwrócił się i ruszył z powrotem do swojego pokoju. Nie rozglądał się w ogóle w obawie, że mógłby dostrzec to coś, co już drugi raz przemknęło na krawędzi jego pola widzenia. Znowu poruszał się, jakby otaczała go smoła. Jeden zły krok i mógłby wpaść w tę czarną, kleistą otchłań.

– Nieładnie się chować... Nieładnie uciekać...

Znowu ten głos. Mężczyzna zignorował go i zamknął za sobą drzwi pokoju. Wciąż czuł się jak we śnie. Zdezorientowany, usiadł na łóżku, ale wtedy na korytarzu usłyszał kroki. Najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, coraz bardziej złowieszcze. Jakby kto śsię rozpędzał i biegł coraz szybciej, i to biegł ku jego drzwiom.

I nagle trach. Coś odbiło się od drzwi. Ściany zafalowały, a może to Ericowi zakręciło się w głowie. Usłyszał krzyk, a potem ktoś lub coś nacisnęło klamkę.

– Eric... – odezwał się Joseph i wszedł powoli do pokoju. Jego ubrania nadal były rozpięte. Włosy sterczały na boki w lekkim nieładzie. A oczy... Czarne oczy hipnotyzowały.
– Przed czym uciekasz, panie fotografie z Nowego Jorku? Nie chcesz zrobić mi kilku zdjęć? W tym stanie jestem... diabelsko fotogeniczny. – Puścił oko do mężczyzny, wyjął członek ze spodni i zaczął go ponownie masować.

Eric nie potrafił oderwać wzroku od tej sceny. Zdawało mu się, że jest w niej zawarta cała lubieżność świata. Ściany pokoju znowu zaczęły się zbliżać. Ciaśniej, ciaśniej...

– Czy to nie dlatego jesteś rozwodnikiem? – Joseph się zaśmiał i wskazał na pełną erekcję widoczną pod bokserkami Erica. – Zamierzasz coś z tym zrobić? – Chłopak przestał

się masturbować, założył ręce na piersi i wyprostował. Był dumny ze swojego sztywno sterczącego przyrodzenia.

Eric powodowany wewnętrznym przymusem, ale też przemożną ochotą, która pojawiła się nieproszona, opadł na podłogę i podczołgał się na czworakach do Josepha. W dziwnym transie i palącej potrzebie uzyskania aprobaty wspiął się po szczupłych udach chłopaka i znalazł się przed nim w pozycji na kolanach.

– Eric... umie się bawić... – Ni to męski, ni to kobiecy głos znowu rozległ się gdzieś w oddali.

– Tak... – zamruczał Joseph, głaszcząc włosy mężczyzny klęczącego przed nim. – Eric umie się bawić. Wiedziałem, że będzie odpowiedni.

Kilka godzin później Eric z trudem otworzył oczy. Bolała go głowa i wszystkie mięśnie, a do tego miejsca, które nie powinny boleć. Parę minut zajęło mu odzyskanie pełnej świadomości. Usiadł na łóżku jak oparzony, gdy dotarło do niego, co działo się w nocy. Nie żeby tego nie chciał, nie żeby nie wiedział tego o sobie, ale Joseph... Joseph nie był tym, za kogo się podawał.

Wtedy doznał kolejnego szoku. Pokój, w którym się znajdował, wyglądał zupełnie inaczej od tego, w którym kładł się spać. A jednak przebywał w tym samym pomieszczeniu. Zrujnowane, zużyte, zdewastowane. Tak jakby nigdy nie zostało odnowione. Spojrzał na okrywający go koci skrzywił się z obrzydzeniem. Brudna, poplamiona, podarta szmata wydawała się drwić z jego głupoty.

Ubrał się w ekspresowym tempie, chwycił torbę, statyw i wybiegł z pomieszczenia, by dokonać kolejnego odkrycia. Korytarz również był ruderą. Całe pierwsze piętro... Ani jednego wyremontowanego pokoju. Nawet nie chciał myśleć, jaką wodą, o ile to była woda, umył się poprzedniego dnia.

Zbiegł pospiesznie na dół. Spodziewał się już, co tam ujrzy. Wielki hol i recepcja... Wszystko w takim stanie, w jakim spodziewał się to zastać wczoraj. Połamane meble, obdarte ściany, walające się śmieci... Dzisiaj jednak nie miało to sensu. Przecież dzień wcześniej sam widział...

– Joseph! – wrzasnął na całe gardło w żalostnej próbie uzyskania wyjaśnienia niewytłumaczalnych zdarzeń. – Joseph!!!

Odezwało się tylko echo.

Wyjął aparat z torby i zaczął nerwowo przeglądać zdjęcia, które przedstawiały odnowioną część hotelu. Niespodzianka! Na wszystkich widniała rudera, mimo że wczoraj widział na nich coś zupełnie innego! Drżącymi rękami schował aparat.

Na brudnej i poplamionej podłodze, na środku holu, dostrzegł kawałek papieru. Podeszedł i podniósł to, co okazało się być wyrwaną stroną gazety. Pożółkłą, brudną, ale czytelną. Nagłówek artykułu głosił: „Ocalały z Holocaustu mieszkańiec hotelu Adler popełnia samobójstwo. Przyczyna nieznana”.

Zdjęcie było niewyraźne, ale Eric z łatwością rozpoznał na nim młodego chłopaka o czarnych włosach, bladej cerze i zielonych oczach. Nerwowo odrzucił kartkę i czym prędzej popędził do wyjścia. Jakaś niewidzialna siła sprawiła, że odbił się od drzwi jak od pionowej trampoliny. Nie pozwolił sobie nawet na krótką chwilę zawahania i zaczął ponawiać atak na przeszkodę raz po raz w desperackich próbach opuszczenia hotelu. Na nic się to jednak zdało. Adler nie otwierał się dla wszystkich. Z obu stron.

Dwa tygodnie później

Reid sam nie wiedział, dlaczego coś przywiodło go do Sharon Springs. Kiedy Eric odnowił z nim kontakt po swoim rozwodzie, w mężczyźnie pojawiła się iskierka nadziei. Być może to, co wyczuwał w nim piętnaście lat temu na studiach, miało w końcu wypłynąć na powierzchnię. Reid ostrzegał w tym swoją szansę i nie chciał jej zmarnować.

Dlatego też, gdy przyjaciel przestał odbierać telefony i odpisywać na wiadomości, pierwszą myślą Reida było odwiedzenie go w Nowym Jorku. Ponure miasteczko, do którego dwa tygodnie temu pojechał Eric, było jednak bliżej i Reid miał dziwne przeczucie, że właśnie tam powinien zacząć poszukiwania.

Sharon Springs i Adler okazały się dobrym tropem, bo nieopodal hotelu Reid zauważył zaparkowane volvo Erica. Weekendowa wycieczka przyjaciela musiała się zatem nieźle przedłużyć. Jeszcze się na niego nie wściekał za zerwanie kontaktu bez słowa wyjaśnienia, ale już buzowało w nim coś niedobrego.

Podeszedł do drzwi wejściowych i uchylił je ostrożnie. Jego oczom ukazał się zupełnie odnowiony hol, który kontrastował z tym, jak Adler prezentował się na zewnątrz. Za blatem recepcji stał młody chłopak o czarnych włosach i bladej cerze. Uśmiechnął się do niego zapraszająco.

– Robi wrażenie, prawda?

Reid nie był estetą, przytaknął więc i od razu przeszedł do sedna sprawy:

–Szukam przyjaciela, Erica Crawforda. Jego auto stoi przed hotelem.

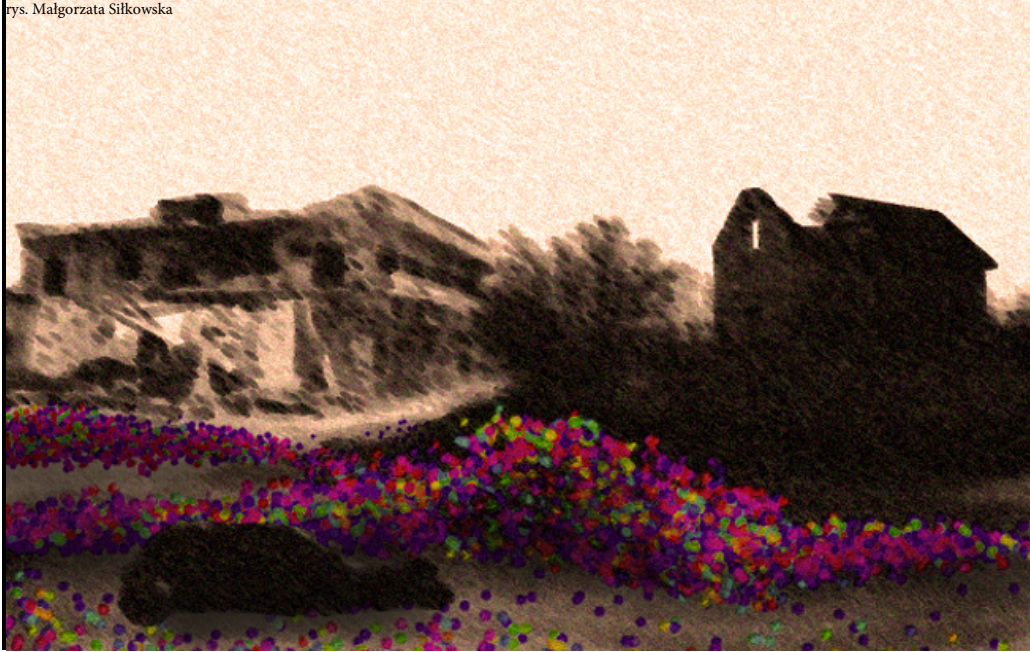
–Ach, tak... Eric... – Zamyślił się chłopak. –Jakby to powiedzieć... Eric bardzo się do tego miejsca... przywiązał. Ale wejdź proszę, wszystko ci wyjaśnię.

Reid wszedł do środka, bo ciekawość była silniejsza od dziwnego podskórnego uczucia, że to miejsce przesycone jest niepokojącą energią. *W końcu to tylko młody boy hotelowy. Mam nad nim pięćdziesiąt funtów przewagi*, przeanalizował sytuację.

– Ach, jeszcze jedno... Bądź tak miły i zamknij za sobą drzwi.

Reid odruchowo wykonał polecenie, a chłopak uśmiechnął się triumfalnie.

rys. Małgorzata Siłkowska



KULKI

Maurycy Janota

Poniedziałek, 2 marca 2020

Marta dalej nie odpisuje, a ja już nie wiem, co mam robić. Chciałbym, żeby wszystko było jak dawniej, a jeśli to niemożliwe, żeby przynajmniej dała mi jakąkolwiek wskazówkę, co zrobiłem nie tak. Powinienem być zły wyłącznie na siebie, tak myślę, ale jej milczenie zaczyna doprowadzać mnie do granic wytrzymałości. Boję się, że gdy tylko ją spotkam, zobaczę się z nią na ulicy albo w sklepie, znowu wybuchnę. A wystarczy przecież, żeby wystukała na klawiaturze kilka prostych zdań, wyłożyła na czym teraz stoimy...

Środa, 4 marca 2020

Dziwna sprawa. Zmusiłem się i wyszedłem dzisiaj po południu do Żabki po małe zakupy, bo lodówka świeciła pustkami. Zdaję sobie sprawę, że niepotrzebnie, że to głupota, ale wybrałem

dłuższą drogę, przez park koło mieszkania Marty. A w zasadzie koło mieszkania jej przyjaciółki, która nigdy mnie nie lubiła i zgodziła się tymczasowo przygarnąć Martę. Nie mam pojęcia, czemu tam poszedłem. Może liczyłem na to, że wpadniemy na siebie pod blokiem, że zobaczę ją w oknie... Wiem, że gdyby do tego doszło, zabrakłoby mi języka w gębie i nic byśmy sobie nie wyjaśnili. Pewnie jedynie pogorszyłbym sytuację... Ale mniejsza z tym, czułem, że muszę pójść akurat tamtędy i jakoś się do niej zbliżyć, bo dystans, który wytworzył się między nami, na serio mnie dobija.

To głupie, że piszę o czymś takim, ale miałem przecież notować wszystko, co siedzi mi w głowie. Dlatego nie mogę udawać, że nie zastanawiają mnie te kolorowe kulki wielkości piłek pingpongowych, które walały się po parku. Widziałem je w paru miejscach – przy stawie, koło pomnika i gdy wychodziłem przez bramę od strony Boya. Ktoś porozrzucił piłeczki po ziemi, ale to nie taki przypadek, gdy komuś pęka torba i jej zawartość rozsypuje się w obrębie jednego punktu. Pierwszą kulkę, którą zobaczyłem w trawie, koło ławki przy ścieżce, i ostatnią, leżącą pod murem, dzieliło dobre kilkaset metrów.

Wziąłem jedną z nich i przyniosłem w kieszeni do domu, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Wyglądała dość zwyczajnie. Była twarda i idealnie okrągła, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy zrobiono ją z metalu czy z jakiegoś solidniejszego plastiku. Trafiła mi się zielona. Kulkę zostawiłem na stole. Szkoda mi ją było wyrzucić.

Piątek, 6 marca 2020

Zabawne. Gdy staram się nie oglądać telewizji, a zwłaszcza jedynek, tak dzisiaj skakałem z nudów po kanałach w przerwie meczu i trafiłem na Teleexpress. Dokładnie na jego końcówkę, czyli na segment, w trakcie którego zawsze przytaczają jakąś totalną pierdołę. Tym razem mówili o... tych kulkach. Serio. Okazało się, że pojawiły się też w parkach w Warszawie, Poznaniu czy Białymstoku. Ogólnie w największych miastach w Polsce. Puenta była taka, że na ten moment nikt się do nich nie przyznaje, a ponieważ nie wiadomo co z nimi zrobić, to osoby sprzątające wyrzucają je do śmieci.

Jakoś mnie to ruszyło i szukałem w Google więcej na ten temat. Czytałem komentarze na fejsie pod materiałem z tv. Skłaniam się ku temu, co uważa większość – że to akcja promocyjna albo kampania społeczna i niedługo wyjaśnią, o co chodzi.

Wysłałem Marcie zdjęcie kulki, która nadal leży u mnie na stole. Zazartowałem, że mam dla niej prezent i że może kiedyś będzie coś wart. Wyświetliła.

Wtorek, 10 marca 2020

Przysłała Sylwię po resztę rzeczy. Ta kompletnie mnie olała i w moim własnym mieszkaniu traktowała jak powietrze. Spytałem, co słyhać u Marty, jak się czuje, ale dziewczyna tylko się zaśmiała i odpowiedziała ironicznie, że nagle teraz się tym przejmuję. Gównu prawda. Przejmowałem się cały czas, kiedy byliśmy razem.

Sylwia wzięła dwa pudła ubrań i kosmetyków. Zaproponowałem, że pomogę jej znieść je po schodach. Nie posłuchała. Karton z perfumami rozerwał się od spodu i jego zawartość rozsypała się po stopniach. Jeden flakon się potłukł. Widziałem to przez judasza. Trochę mi głupio, ale z trudem powstrzymałem śmiech. Nie zszedłem z nią tego pozbierać.

Mimo że sprzątnęli u nas w parku te kulki, po paru dniach znowu się pojawiły. Fanpage Łodzi nawet się do tego odniósł i wrzucił o tym mema, ale niezbyt śmiesznego.

Sobota, 14 marca 2020

Ze wszystkiego muszą zrobić farsę. Ponieważ kulki ciągle wracają na ulice, któryś polityk z partii rządzącej poczuł potrzebę się wypowiedzieć i oskarżył tajemnicze lobby LGBT o zaśmiecanie miast, co wiąże się z większymi kosztami wywozu odpadów. Gość połączył kolorowe kulki z homopropagandą. Nie żartuję. Zapisuję to wyłącznie dlatego, że za parę lat najpewniej sam bym w to nie uwierzył.

Prowadząca program naturalnie dodała, że wszystkie lewackie organizacje słyną z akcji godnych internetowych trolli. Z ciekawości zerknąłem w internecie, czy lewica to skomentowała. Dwie największe partie całkiem celnie wyśmiały te oskarżenia.

Czekam aż jakaś marka odzieżowa albo bank przyznają się do tego przedsięwzięcia. Innego rozwiązania zagadki nie widzę.

Czwartek, 19 marca 2020

Na Onecie pojawił się artykuł o tym, że naukowcy z któregoś z większych polskich uniwersytetów zbadali kulki z różnych miast i wyszło, że to jakaś odmiana powszechnie stosowanego, wytrzymałego plastiku. To, że wszystkie są idealnie okrągłe i mają identyczne wymiary, uargumentowali po prostu profesjonalnymi narzędziami do obróbki.

Na socialach oczywiście pojawiła się pierwsza teoria spiskowa o pochodzeniu kolorowych kulek, haha. Foliarze piszą, że nie trzeba być żadnym profesorem, żeby

stwierdzić, że piłeczki są z plastiku. A co za tym idzie, gdyby odpowiedź była tak banalna, nikogo poważnego nie angażowałiby w badania naukowe.

To jak? Kosmici? Reptilianie?

Środa, 25 marca 2020

Może udziela mi się już lekka paranoja, ale wyrzuciłem tę kulkę. Nie ma sensu znosić śmieci do domu. I tak nie była mi do niczego potrzebna. Przezorny zawsze ubezpieczony. Skoro są wątpliwości co do materiału i nie wiadomo, do czego kulka służy, nie będę ryzykować.

Ale jakby co, nie panikuję. Nie kupuję tych wszystkich teorii o ufo i inwigilacji, bo nie pasuje mi to do tego, że zjawisko ogranicza się wyłącznie do Polski. Dziwi mnie, że nic nie słychać o tym zza granicy, np. z Niemiec albo Czech. Jakby tam się to nie działo. No chyba, że się dzieje, ale nie docierają do nas żadne informacje.

Mam wrażenie, że świat stał się ostatnio jakiś mniejszy. Naprawdę mało widuję newsy z innych krajów. Muzyka w radiu też brzmi inaczej. Wszystkie piosenki są śpiewane niższymi wokalami, a instrumenty wydają z siebie dziwne, głębsze tony. Może radio mi się psuje. Nie wiem.

Poniedziałek, 30 marca 2020

Rano znalazłem dwie na parapecie. Różową i żółtą. Nie wiem, skąd się wzięły i kiedy się pojawiły. Gdy kładłem się spać mniej więcej o trzeciej w nocy i otwierałem okno, nic tam jeszcze nie leżało. Nikt raczej nie dorzuciłby ich na piąte piętro. Sąsiadów też nie podejrzewam. Po co mieliby to robić?

Mam nadzieję, że nikt z nich mnie nie widział, gdy strącałem kulki końcem szczotki na chodnik. Nie rozbiły się. Czyli mogą spadać z dużej wysokości i nie widać na nich żadnych uszkodzeń? Potoczyły się po asfalcie i zniknęły mi z oczu gdzieś w trawie. Widziałem jednak inne piłeczki – niebieskie, czerwone, fioletowe. Wyglądały z mojej perspektywy jak duże mentosy, rozsypane przez kogoś na ulicy.

Czytałem wczoraj przed snem o tym, że ten łysy jasnowidz, którego nazwiska już nie pamiętam, kilka lat temu przepowiadał, że z nieba będą spadać kule kosmicznego pochodzenia. Obejrzałem podlinkowany do artykułu filmik i faktycznie, w 2016 mówił o dziwnym deszczu, przy użyciu którego istoty pozaziemskie wyślą nam ostrzeżenie. Nie

wierzę, żeby to miało coś wspólnego z tymi kulkami. Te z jego opisu były wielkie, bardziej organiczne i nie przypominały mentosów.

Tak długie L4 chyba mi nie służy, ale przez to wszystko nie mam ochoty wychodzić na zewnątrz. Choć niedługo i tak będę musiał. Gorzej jem. Mniej regularnie. Wyjadam to, co przywożem od rodziców w słoikach – gotowe sosy, warzywa na patelnię – i do wszystkiego dodaję makaron. Zapasy się kończą. Powinienem ogarnąć listę zakupów.

Dużo czasu spędzam, patrząc się tępo w niebo.

Wtorek, 31 marca 2020

Ostatnio znów głośniej o lewicowej teorii, że to jakieś toksyczne odpady, które biorą się ze smogu, co tłumaczyłoby, dlaczego problem dotyczy wyłącznie kraju z tak okropną jakością powietrza. Te tłumaczenia brzmią coraz bardziej desperacko, widać po politykach i ekspertach, że sami nie wierzą w to, co wygadują. Przyroda potrafi zaskakiwać, ale nie sądzę, żeby precyzyjnie wykonane, sferyczne kulki były efektem działań sił natury.

Rozumiem, dlaczego nie próbują wygaszać tego tematu. Bo to gównu zalega wszędzie. Już nie tylko w parkach czy na ulicach. Kiedy zaraz po przebudzeniu udałem się wreszcie do marketu, kulki leżały nawet pod półkami – w tych samych kolorach, nie mniejsze ani nie większe od tamtej, którą trzymałem w mieszkaniu.

Kupiłem gotowe dania do podgrzania w mikrofalówce. Nie mam motywacji do bawienia się w kucharza.

A propos jedzenia, dopiszę jeszcze na koniec, że w necie krąży idiotyczne wideo z gościem, który wkłada sobie fioletową kulkę do ust i ją zjada. Jak na złość, za każdym razem, gdy chcę znaleźć filmik, znika ze stron. Moderatorzy go usuwają czy co?

Środa, 14 kwietnia 2020

Nie wierzę w tę beczelność. Dziś rano napisała. Z pytaniem czy wszystko u mnie gra, bo martwi się brakiem jakichkolwiek znaków życia. Wow. Naprawdę zdziwiło ją, że po kilkunastu, nawet kilkudziesięciu, próbach porzuciłem starania nawiązania z nią kontaktu i przestałem się trudzić? Odpowiedziała, że prawie od miesiąca nie wrzucam muzyki na Facebooka i nic nie komentuję. Biorąc pod uwagę, jak ciężko przechodziłem rozstanie, bała się, że zrobiłem sobie krzywdę. A ja teraz się śmieję, że sama też mnie stalkuje i w małym stopniu nadal musi jej zależeć.

Co do kulek, zapisałem się na fejsie do jednej z poświęconych im grup. Ludzie dzielą się tam swoimi przemyśleniami, niektóre są naprawdę ciekawe. Przescrollowałem forum od samiotkiego początku i największe wrażenie zrobiły na mnie zdjęcia pochodzące rzekomo z Luizjany z 1978 roku. Wyglądały na autentyczne, a trochę się na tym znam, fejki łatwo poznać. Koleś, który wrzucił foty, podesłał też link do artykułu jakiegoś niezależnego amerykańskiego dziennikarza, który opisywał tę sprawę. Podobno przez tydzień mieszkańcy niedużej miejscowości znajdowali kulki na pobliskich bagnach. Sprawa zakończyła się przyjazdem facetów w czerni, którzy sprzątnęli dowody i zamietli sprawę pod dywan. Na fotografiach te dziwne paciorki (czy co to, kurwa, jest) wyglądały tak samo jak te, które wysypują się ze śmietnikówu nas na ulicach.

Coś stało się z telewizją. Jestem pewien, że ubyło mi kilku programów, ale nie umiem stwierdzić których dokładnie.

Sobota, 2 maja 2020

Staralem się nie wychodzić z mieszkania. Miałem wyliczone co do dnia porcje jedzenia tak, żeby niczego nie zabrakło mi przez ten miesiąc, ale zapasy znowu się wyczerpały. Przedwczoraj i wczoraj nic już praktycznie nie jadłem. Dzisiaj, chcąc nie chcąc, musiałem wybrać się do sklepu.

Na dworze zdziwiło mnie parę rzeczy. Po pierwsze, jest chłodniej niż wskazuje na to termometr – telefon pokazywał dwadzieścia pięć stopni w słońcu. Ubrałem się tak, jak zwykle ubrałbym się w wiosenną pogodę, a mimo to miałem ciarki z zimna. Po drugie, część sklepów w mojej najbliższej okolicy się pozamykała. Na drzwiach osiedlowego spożywczaka, do którego zdarzało mi się schodzić awaryjnie po wodę mineralną, wywiesili karteczkę z napisem „Nieczynne do odwołania”. Nie wiem, co o tym sądzić. Po trzecie i ostatnie, brodziłem w kulkach po kostki. Musiałem uważać, żeby się na nich nie poślizgnąć. Było ciężko postawić stopę w miejscu, w którym by się nie znajdowały. Parę razy rozjechały mi się nogi jak na lodowisku. Nie widziałem nikogo, kto próbowałby sprzątać piłeczki. W drodze do Lidla w ogóle nie widziałem zbyt wielu ludzi. W markecie spotkałem pojedyncze osoby, ale z nikim nie zamieniłem ani słowa.

Gdy dłużej o tym pomyślę, wyjdzie na to, że ostatnią osobą, z którą rozmawiałem była Marta. Jeżeli liczyć ostatnie spotkanie twarzą w twarz, byłaby to wprawdzie Sylwia, jednaknie przesadzałbym z nazwaniem tego rozmową.

Środa, 6 maja 2020

Obudził mnie o piątej jakiś dźwięk, ale zupełnie nie pamiętam jaki. Mam pustkę w głowie. Potem nie mogłem zasnąć. Kiedy wstałem zrobić sobie kawę, na podłodze w kuchni, koło zlewu, zobaczyłem czerwoną kulkę.

Przysięgam, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak mogła się tam znaleźć. Uważnie sprawdzałem torby po ostatnich zakupach, oglądałem je z każdej strony, żeby upewnić się, czy nie przyniosłem w nich jakiejś kulki. Ubrania, w których byłem na dworze, wytrzepałem przez okno, po czym wrzuciłem je od razu do pralki. Nie ma opcji, żebym to ja wniósł ją do domu. Czyli dostają się już nawet pod dach, w dodatku do mieszkań na wyższych piętrach! Zrezygnowałem z kawy i zamknąłem się w pokoju. Chciałem napisać do Marty, ale od tygodnia wyświetla się jako niedostępna na czacie. Jak większość znajomych, do których mógłbym się zwrócić.

Niedziela, 10 maja 2020

Trzymam ją w dłoni. Jest twarda jak tamta zielona, którą cisnąłem za okno, ale przy tym całkiem miła w dotyku, na co nie zwróciłem wcześniej uwagi. Ani ciepła, ani zimna, po prostu dobrze leży w ręce i gładko przepływa między palcami.

Długo zastanawiałem się, co z nią zrobić. Nie pozbyłem się jej, bo uznałem, że nic to nie da. Pewnie pojawiłyby się kolejne. Pod blokiem było widać ich całe morze. Nie zdziwiłbym się, gdyby wsypywały się już na klatkę schodową. Nie sprawdzałem tego. Od środy najdalej poza sypialnią byłem w łazience oprócz jednej wyprawy do kuchni, kiedy znalazłem czerwoną kulkę. Tkwiła tam, gdzie ją zostawiłem, pod zlewem. Wołałem nie zaglądać w inne kąty, żeby nie odkryć, ile mam ich w mieszkaniu.

Sporo myślałem o filmiku z chłopakiem, który połknął kulkę niczym tabletkę przeciwbólową albo pastylkę na sen. Wydawał się taki pewny, spokojny. Świadomy tej decyzji. Uważałem to za idiotyczne, ale zmieniłem zdanie. Nie ma na świecie nikogo, kto nigdy nie zmieniłby zdania. Postanowiłem też spróbować.

Ten akapit piszę już po wszystkim. Popiłem ją wodą, ale jestem przekonany, że i bez tego łatwo przeplęnęłaby przez gardło. Nie miała żadnego posmaku, a przynajmniej go nie poczułem. Przełykaniu nie towarzyszyło nawet okropne metaliczne albo proszkowe odczucie,

które cechuje niektóre leki. Może to tylko moja wyobraźnia, ale zdawało mi się, że w ustach kulka zmieniła swój stan, strukturę. Jakby zmiękła, ale nie zdołałbym tego dowieść.

Nie mogę zasnąć. Boli mnie głowa, jak nigdy dotąd i ciągle chce mi się pić. Wiercę się w łóżku. Pokój unosi się i opada. Przyprawia mnie to o mdłości. Z trudem trzymam długopis. Czuję, że moje kości się ścierają, a z mięśni znika napięcie. Zostały mi jeszcze ręce. Nie wiem, co z resztą ciała. Mam nadzieję, że tam nie będę go potrzebować.



NEMO

Adrian Iwaniak

– Stul japę, cioto! – wrzasnął Damian, wycierając spocone dłonie o spodnie.

Zacisnąłem zęby, aby nie prowokować brata do dalszej agresji, lecz łyzy wciąż ciekły mipo policzkach. Szlochając cicho, patrzyłem w jarzące się płomieniem oczy, pełne zła i nienawiści. Bałem się... Przerazała mnie jego postawa, złość i okrucieństwo, które okazywał, gdy bił mnie i poniżał na każdym kroku. Niestety był starszy ode mnie o dwa lata, silniejszy i wyższy niemal dwadzieścia centymetrów.

– No i co się gapisz? Mało ci jeszcze? – krzyczał dalej.

Bałem się odezwać. Zdołałem tylko potrzeć zarumieniony od uderzenia policzek, z którego emanował silny, pulsujący ból, i przywarłem plecami do ściany. W głębi pokoju Puszek, nasz domowy szczeniak, ujadął zaciekle. Próbował obronić mnie przed atakiem, lecz brat jedynie spojrzął na zwierzę lekceważąco.

– Co, mały kundlu? Ty też chcesz oberwać?

Sznaucer, jakby sprowokowany słowami, podbiegł do Damiana i wbił drobne zęby w jego nogawkę, czym jeszcze bardziej go wkurzył.

– Ty śmieciu! Pożałujesz.

Damian wykonał zamach nogą i z całej siły kopnął Puszka – tak mocno, że psina przeleciała dwa metry, uderzyła boleśnie w betonową ścianę, po czym opadła bezwładnie na ziemię. W powietrzu rozniósł się krótki, przytłumiony pisk, który przeszył mi serce niczym strzała.

– Nie! Zostaw go! – załkałem.

– Zamknij mordę, bo dostaniesz jeszcze mocniej.

Chciałem wstać, zrobić cokolwiek, aby odplacić bratu i uratować Puszka, lecz nie byłem w stanie... Sparaliżował mnie strach, który przejął kontrolę nad każdą częścią ciała.

– Szkoda ci szczeniaka, co nie? A może wolałbyś, żebym znów zajął się tobą? – dodał Damian i wyciągnął z kieszeni składany scyzoryk.

Myślicie, że coś odpowiedziałem? Cóż, jesteście w błędzie – nie byłem w stanie wydukać ani słowa.

– No, tak myślałem... To teraz patrz i nie przeszkadzaj starszemu bratu w zabawie.

To, co działo się potem, trudno mi nawet opisać. Pamiętam tylko, że Damian podszedł do Puszka, uśmiechnął się oblesnie i szybkim ruchem wydlubał mu scyzorykiem prawe oko. Widziałem wypływające białka oczne, a moje uszy wypełnił szaleńczy śmiech tego potwora, przeplatany z pełnym bólu skomleniem zwierzęcia.

– Jeżeli piśniesz choćby słowo rodzicom, przyrzekam, że cię zabiję!

Damian trafił do naszego domu jakieś pół roku temu, po tym, jak rodzice adoptowali go z domu dziecka. Z tego, co wiem, byliśmy jego szóstą rodziną. Odkąd się wprowadził, wiedziałem, że jest z nim coś nie tak. Niejednokrotnie, gdy budziłem się w nocy, słyszałem, jak gada do siebie w jakimś dziwnym, niezrozumiałym języku i wije się na łóżku niczym wąż. Nigdy nie odważyłem się wtedy na niego spojrzeć, zawsze udawałem, że śpię. Odwróciłem głowę tylko raz i po tym, co zobaczyłem, obiecałem sobie, że nigdy więcej tego nie powtórzę. Brzuch Damiana świecił jaskrawym, czerwonym światłem, zupełnie jakby połknął żarówkę. Przysięgam, że widziałem, jak coś próbuje się wydostać z jego bebecha. We wnętrzu mojego brata coś żyło i chciało wypełznąć na świat tak samo jak w „Obcym”. Ale najgorsza była twarz Damiana – sina, spocona i powykręcana z bólu. Twarz nie człowieka, lecz... demona.

Ciągle zastanawiam się, dlaczego nie pobiegłem po rodziców, tylko schowałem się pod kocem jak żółw w skorupie. Może wtedy historia potoczyłaby się inaczej...

Któregoś wieczoru, gdy oglądaliśmy z Damianem jego ulubioną bajkę „Gdzie jest Nemo”, a nasza trzymiesięczna siostrzyczka leżała obok w kołysce, usłyszałem, jak rodzice rozmawiają o moim bracie, a dokładniej o jego narodzinach. Zeskoczyłem z fotela i zakradłem się do kuchni, najciszej jak potrafiłem. Tata jak zwykle był spokojny i opanowany, za to mama cała aż drżała z nerwów.

– Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedzieli? – zapytała.

– Może bali się, że zrezygnujemy z adopcji.

– No, ale żeby zataić takie informacje? Krzysztof, na miłość boską, jego ojciec w dniu narodzin dziecka poderżnął sobie gardło i nawet nie raczyli nas o tym poinformować!

– Marzena, ciszej, bo jeszcze chłopcy usłyszą.

– Jak mam być cicho w takiej sytuacji? No powiedz mi!

– Ech... Okej, rozumiem, ja też jestem na nich zły, ale przecież nie oddamy Damiana dlatego, że jego rodzice zginęli w dziwnych okolicznościach.

– Dziwnych okolicznościach? Żartujesz sobie? Matka tego chłopca chwilę po porodzie próbowała wepchnąć go z powrotem do pochwy, rozumiesz to? Krzyczała, że to demon, który nigdy nie powinien był wyjść z jej łona!

Po tych słowach tata westchnął głęboko i przytulił mamę, która niespodziewanie wybuchnęła płaczem, a mnie przeszył dreszcz.

Nie, to nie może być prawda, pomyślałem. Damian przecież nie jest demonem. Owszem, zachowuje się dziwnie i ma napady agresji, ale to wciąż tylko chłopiec.

W tej samej chwili poczułem czyjś zimny oddech na karku. Zadrzałem i nieśpiesznie odwróciłem głowę.

– Dlaczego nie oglądasz ze mną telewizji? Przecież wiesz, że Nemo to moja ulubiona bajka – zapytał z wyrzutem mój brat.

– Wyszedłem na chwilę do łazienki.

– Kłamiesz, braciszku.

– Mówię prawdę, musiałem siku.

– Kłamiesz, i spotka cię za to kara.

Kiedy tylko to powiedział, mogę przysiąc, że przez ułamek sekundy widziałem, jak jego oczy stają się czarne, a z ust wystaje długi, jaszczurzy jęzor.

Tej nocy śniłem, że uciekam przed potworem. Bestia gonila mnie po ciemnej ulicy, wzdłuż której majaczyły latarnie, nieznacznie oświetlające drogę swoim blaskiem. Biegłem co sił w nogach, lecz stwór znajdował się coraz bliżej, niemal na wyciągnięcie swoich ostrych pazurów. W chwili, gdy już miał mnie dopaść, niespodziewanie wyrwałem się ze snu, wystraszony i mokry od potu. Odetchnąłem z ulgą i spojrzałem na łóżko Damiana. Było puste.

Zdziwiłem się, gdyż nigdy nie wychodził w nocy z pokoju. Nie zastanawiałem się długo, tylko wstałem i powolnym krokiem skierowałem się do kuchni. Gdy przechodziłem obok sypialni rodziców, dobiegł mnie dziwny, skrzeczący głos, jakby kozła mówiącego ludzkim językiem. Zakradłem się pod drzwi i drżącą dłonią nacisnąłem klamkę. W środku ujrzałem coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Na łóżku rodziców siedział Damian, który wpatrywał się w nich mrocznym, przeszywającym wzrokiem. Całe jego ciało emanowało jaskrawym, czerwonym światłem, a dłonie zakończone były szpiczastymi pazurami.

Gdy usłyszał, że wchodzę do pokoju, powoli skierował oczy w moją stronę i przystawił palec do ust.

– Ciii... chyba nie chcemy zbudzić rodziców – wyszeptał nieludzkim głosem.

Strach odebrał mi mowę. Zastygłem w bezruchu. Nie mogłem nawet mrugnąć. Patrzyłem, jak Damian odwraca głowę w kierunku rodziców i otwiera szeroko usta. Utkwiłem spojrzenie w jego brzuchu, poruszającym się tak, jakby w środku znajdowało się nienarodzone dziecko, które siłą próbuje wydostać się na świat. Po chwili Damian zaczął się krztusić, a z jego ust wydobyło się coś, co kształtem przypominało wijącą się mackę ośmiornicy. Milczałem, wpatrzony w nieludzką scenę, próbując uspokoić serce wyrywające się z piersi. Wciąż nie mogłem się poruszyć.

Brat pochylił się nisko, tak aby stworzenie z jego wnętrza mogło wpełznąć wprost do ust taty, który wciąż spał niczym nafaszerowany środkami nasennymi. *Tato, obudź się!*, pomyślałem, lecz nie przyniosło to żadnego efektu. Mogłem jedynie patrzeć, jak macka wciska się przez jego wargi, całkowicie opuszczając ciało brata i wydając przy tym cichy, przytłumiony syk. Po wszystkim Damian uśmiechnął się szyderczo.

– Śpij, tatusiu, śpij – wyszeptał mu do ucha.

I wtedy zobaczyłem to dokładnie! Oczy brata zrobiły się matowe, z czoła wyrosła para zakończonych szpikulcami rogów, a plecy zakryły ciemne, błoniaste skrzydła jak u nietoperza. Do tego powietrze nabrało charakterystycznego zapachu siarki, który przyprawił mnie o mdłości.

Niespodziewanie spomiędzy warg taty wypełzła obślizgła macka i wdarła się do ust mamy. To było dla mnie za wiele. Z przerażenia zamknąłem oczy. Chciałem krzyknąć, lecz słowa więzły mi w gardle. Trwałem w tym stanie przez kilka sekund, aż w końcu uchyliłem powieki. Ku mojemu zdziwieniu w pokoju zrobiło się spokojnie. Rodzice wciąż spali w łóżku, nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie się wydarzyło. Niespodziewanie odzyskałem władzę w kończynach i już miałem ich obudzić, gdy coś szarpnęło mnie od tyłu za ramię.

– Oni już są moi!– ryknął Damian.

Jedynie, co zapamiętałem, zanim upadłem nieprzytomny na podłogę, to jego obślizgły, rozdwojony język.

Rano obudził mnie potworny ból głowy. Powoli uniosłem powieki. Wciąż miałem przed oczami obraz minionej nocy. Nie wiedziałem do końca, czy to, co widziałem, wydarzyło się naprawdę, czy może był to tylko zły sen. Niemrawo potrząsnąłem głową i zerwałem się na równe nogi. Damian wciąż spał w swoim łóżku, całkowicie normalny, bez żadnych oznak opętania ani najmniejszych przejawów sił piekielnych.

Mimo że chciałem powiedzieć rodzicom o tym, co dzieje się z bratem, o jego dziwnym zachowaniu w nocy i agresji w dzień, wiedziałem, że gdybym pisnął choćby słówko, Damian mnie skrzywdzi, a może nawet... zabije. Czułem się przyparty do muru.

Powoli zszedłem na dół, aby zjeść śniadanie. W salonie dostrzegłem Anię, smacznie śpiącą w drewnianej kołysce. Na widok siostrzyczki uśmiechnąłem się nieznacznie i wszedłem do kuchni.

– Cześć wszystkim! – przywitałem rodziców.

Ku mojemu zaskoczeniu nikt nie odpowiedział. Tata, siedząc przy stole, czytał gazetę i popijał kawę, a mama zmywała naczynia, całkowicie mnie ignorując.

– Halo, dzień dobry! – spróbowałem ponownie.

Mama odwróciła głowę i spojrzała na mnie złowrogo.

– Siadaj, śniadanie gotowe.

– Coś się stało?

– Siadaj, powiedziałam!

Zdziwiłem się jej gniewnym tonem, wykonałem polecenie, ale powstrzymałem się od odpowiedzi. Spojrzałem na tatę, lecz wciąż wertował gazetę. Po chwili mama rzuciła na stół talerz z grzankami tak, że naczynie aż zadudniło.

– Jedz!

– Mamo, czy wszystko w porz... – nie zdążyłem zadać pytania.

– Żryj to, powiedziałam!

Zatkało mnie. Zdołałem jedynie otworzyć szeroko usta i zatopiłem zęby w spieczonym chlebie, czując na sobie jej przeszywające spojrzenie.

– Cześć, mamo! Cześć, tato! – zawołał Damian, wchodząc do kuchni.

– Cześć, synuś!

– Jak się spało, mistrzu? – dodał tata z wyraźnym uśmiechem.

– Bardzo dobrze, a wam?

– Synku, jesteś głodny? Przygotowałam dla ciebie ulubione śniadanie.

– Dziękuję, mamo. Jesteś cudowna!

Patrzyłem na ten teatrzyk słodkości wytrzeszczonymi oczami. Nie mogłem nadziwić się temu, co widziałem i słyszałem.

– Mamo – dodał Damian. – Kiepsko się czuję. Może mógłbym zostać dziś w domu?

– Ależ oczywiście, kochanie. Zadzwońię do wychowawczynie i usprawiedliwię twoją nieobecność.

– Ale... – wtrąciłem.

– Co znowu? Zjadłeś śniadanie? To pakuj plecak i idź pod prysznic!

– Ledwo ugryzłem...

– Trudno, czas minął, za chwilę będzie autobus.

Spojrzałem na zegarek, którego wskazówki wyznaczały siódmą trzydzieści.

– Przecież mam jeszcze ponad godzinę!

– Synu, rób, co matka każe, zrozumiano? Już i tak mamy przez ciebie tyle problemów!

– Jakich niby problemów? – zdziwiłem się.

Tata spojrzał porozumiewawczo na mamę. Ta jedynie westchnęła głęboko, przetarła nadgarstkiem czoło i ponownie zabrała się do zmywania.

– Wiemy o Puszkę. Twój brat nam powiedział, choć i tak starał się ciebie bronić. Wyłumacz nam, jak mogłeś skrzywdzić bezbronne zwierzę i jeszcze uderzyć Damiana? Co w ciebie wstąpiło?

Te słowa przeszły mnie niczym igła iukłuły prosto w serce.

– Ale to nie prawda! Damian kłamie!

– Synu, zawiedliśmy się na tobie. Puszek został kaleką, a Damian stracił do ciebie zaufanie. Jest twoim przybranym bratem, ale to nie znaczy, że masz prawo go tak traktować. Jeszcze jeden wybryk i przysięgam, że oddamy cię do domu dziecka!

– Tato, przecież to dobry braciszek – wtrącił Damian z udawanym współczuciem.

– Spokojnie, synku, wiem, że próbujesz go bronić. Nie możemy jednak pozwolić na takie bandyckie zachowanie w naszym domu. No, skończ grzecznie śniadanie i wskakuj do łóżka. Możesz cały dzień oglądać telewizję, a mama przygotowuje ci gorące kakao!

– Jupi! Jesteście najlepszymi rodzicami na świecie! Odpalę sobie „Shreka”, a później „Gdzie jest Nemo”!

Tygodnie mijały, a rodzice traktowali mnie jak obce, niechciane dziecko. Za to Damian zawsze był najukochańszym synkiem, który zawsze dostawał to, o co poprosił. Lecz gdy tylko zostawaliśmy sami w domu, bił mnie, poniżał, groził, że zabije. Najgorsze było to, że mama z tatą zawsze stawali po jego stronie i robili ze mnie najgorszego. W ich oczach to ja byłem agresywny, zły i nieposłuszny.

Może gdyby rodzice kupili mi telefon komórkowy, byłbym w stanie nagrać agresję brata, aby udowodnić wszystkim, że to ja byłem ofiarą. Niestety było to niemożliwe...

Myślałem nawet, żeby uciec, ale nie było dokąd. Nie miałem się do kogo zwrócić o pomoc, choć wiedziałem, że z Damianem jest coś nie tak. Nie był normalny. Podejrzewałem nawet, że nie był człowiekiem...

Tego dnia wróciłem wcześniej ze szkoły. Gdy wszedłem do mieszkania, powitała mnie nieprzenikniona ciemność, zupełnie jakby ktoś ukradł słońce. Rzuciłem plecak na podłogę i włączyłem światło. Rolety w oknach były zasunięte, a w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach siarki i palonego cynamonu. *Coś jest nie tak*, pomyślałem.

Wydawało mi się, że środkiem nie było nikogo – ani rodziców, ani Damiana, ani nawet Puszkę. Z oddali dobiegł mnie jednak przytłumiony płacz Ani, więc pośpiesznie udałem się do jej pokoju. Kiedy stanąłem przy drzwiach, poczułem przeszywające ciepło, bijące przez

ścianę. Zadrzałem, lecz szybko nacisnąłem klamkę. Zanim jednak otworzyłem drzwi, usłyszałem głos... ten sam, który dudnił mi w uszach tamtej pamiętnej nocy.

– Səninqanınıistəyirəm!

Wdarłem się do pokoju, niemal wyważając drzwi, i... zamarłem. W środku, tuż nad kołyską Ani, stał Damian, a jego czarne oczy zdawały się płonąć nienawiścią. W dłoni dzierżył duży kuchenny nóż, którego ostrze znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od twarzy maleństwa.

– Co ty robisz?! – wrzasnąłem, ale Damian jedynie uśmiechnął się szeroko, a z jego ust wypełznął śliski, jaszczurzy język.

– Ach... witaj, braciszku! W samą porę!

– Odlóż to! Odlóż ten nóż!

– Już za późno! Spójrz na tę piękną ofiarę!

Gdy to powiedział, ostrze noża wbiło się z impetem prosto w twarz Ani. Krew rozbryzgała się po śnieżnobiałych ścianach, a głowa niemowlęcia pod wpływem ciosu eksplodowała posoką i rozerwała się na dwie części. Usłyszałem trzask pogruchotanych kości, który zadudnił mi w uszach jak uderzenie w kościelny dzwon. A po nim nastąpił kolejny cios, tym razem w brzuch, który rozciął narządy wewnętrzne dziecka. Lecz to był dopiero początek... Damian ciął swoją ofiarę gradem zamaszystych ciosów, śmiejąc się wniebogłosy i robiąc z jej drobniutkiego ciała dosłownie sieczkę.

W końcu przestał, wyraźnie zmęczony, a we mnie wstąpiła nieopisana furia. Działąłem w amoku; wbiegłem w niego, wyrwałem mu z rąk nóż i pchnąłem go z całej siły. Damian uderzył plecami o ścianę i osunął się bezwładnie na podłogę. Bez chwili namysłu uniosłem dłoń, aby zadźgać go za to, co zrobił, i za całe cierpienie, którego doświadczyłem, odkąd został adoptowany.

Wtym momencie w drzwiach pokoju stanął tata.

– Stój! Zostaw go! – krzyknął, gdy zobaczył, co zamierzam zrobić.

Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem w jego przerażone oczy, wypuszczając z dłoni zakrwawione narzędzie zbrodni.

– Nie, tato, to nie tak! Nie ja to zrobiłem, tylko Damian!

Ojciec zdawał się głuchy na moje słowa. Po jego milczeniu wiedziałem, że mi nie wierzy.

– Tato, to nie tak, jak myślisz!

– Pomóż mi! On chce mnie zabić! – wrzasnął niespodziewanie Damian.

W tej samej chwili poczułem na twarzy potężny prawy sierpowy ojca. Cios powalił mnie na podłogę, a obraz przed oczami zrobił się nagle czarny.

– Tato, uwierz mi... – wyszeptałem, po czym straciłem przytomność.

Dziś mija miesiąc od tego zdarzenia. O zabójstwie trzymiesięcznej Ani huczały wszystkie media w Polsce. Okrzyknięto mnie nawet mianem „Rzeźnika z Zamościa”. Niestety dowody jednoznacznie wskazywały na moją winę... Sąd po rozpatrzeniu sprawy uznał jednak, że byłem niepoczytalny, dlatego wysłał mnie do czubków na obserwację. O ile uda mi się stąd wyjść, zapewne trafię do zakładu poprawczego lub domu dziecka.

Zegar wskazuje dwudziestą piętnaście. Siedzę na niewygodnym plastikowym krześle i oglądam telewizję z innymi kuracjuszami. Jest zimno, szaro i jakoś tak przygnębiająco. Jak na ironię leci akurat „Gdzie jest Nemo”. Nemo... Nemo... Zabawne. Teraz już wiem, dlaczego była to ulubiona bajka Damiana. Nemo czytane od tyłu to przecież...



NIEWIDZIALNI

Łukasz Rządkowski

Droga była usiana przeszkodami – takimi, które każdy z nas omija codziennie niezliczoną liczbę razy. Nikt nie podejrzewałby, że zwykłe drzewo może okazać się poważną pułapką. Ale ja uciekałem przed... No właśnie, przed czym?

Każdy mijany metr stawał się coraz trudniejszy. Opuszczone ulice nie stwarzały dobrych warunków do odnalezienia kryjówki. Kryjówki przed nimi. Byli zawsze o krok przede mną, co nie pozwalało na jakiegokolwiek odprężenie.

Moje serce waliło głośno niczym dzwon bijący do mszy. Krew przepływała przez tętnice i żyły z prędkością koni pędzących na wyścigach. Żadna próba uspokojenia oddechu nie przynosiła oczekiwanych rezultatów, a w momencie choćby krótkiego postoju, sytuacja zmuszała do kontynuacji morderczego biegu.

Nie wiedziałem, gdzie podążam, lecz nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najdalej od prześladowców, a ci wciąż deptali mi po piętach.

Miałem cienkie podeszwy butów, dlatego twarda powierzchnia szybko dawała o sobie znać zmęczonym stopom, którym nie pozostawiałem żadnej taryfy ulgowej. Od tego biegu zależał mój los. Jeden zły ruch mógł przesądzić o moim życiu, które zakończyłoby się zdecydowanie za wcześnie.

Echo kroków niesło się między niewysokimi budynkami wioski, przez którą właśnie biegłem. W poszukiwaniu ratunku błdziłem wzrokiem po oknach i drzwiach kamienic. Pragnąłem, by choć w jednej z nich paliło się światło. Jednak cały pasaż postawionych równobudyneczków był pogrążony w mroku. Nie czekała tu na mnie żadna pomocna dłoń, za którą mógłbym chwycić, by zapomnieć o podążających za mną...O nich.

Za wszelką cenę chcieli mnie złapać. Z niewyjaśnionych przyczyn. Jakby stanowiło to ich nadrzędny cel egzystencji. Cały czas czułem na karku czyjs podmuch, a nieustanne poczucie bycia obserwowanym stało się normą.

Nie należałem do kręgu przestępczego, ani nigdy w życiu nie zrobiłem nikomu krzywdy, której byłbym świadomy. Nikt przecież nie jest doskonały. Każdy dopuszcza się czynów, których później żałuje. Ja taki nie byłem. Z niczym nie zwlekałem i nie paliłem za sobą mostów. Każda rozpoczynana przeze mnie sprawa doczekiwała się rozwiązania. Dbałem o bliskich i rodzinę, a mimo to los rzucił mi kłody po nogi i kazał uciekać przed nieznanym. Przed nimi.

Uliczka, w którą skręciłem, wyglądała dokładnie tak samo, jak pięć poprzednich. Wioskanie była duża i chyba zbliżałem się do jej końca. Zabudowania ustępowały naturze. Wyrastały przede mną kolejne przeszkody naturalne. Nim krajobraz całkowicie okrył się całunem zieleni, dostrzegłem miejsce, w którym mogłem się schować. Schować się przed nimi.

Wkroczyłem do wolnostojącego budynku, stanowiącego niegdyś posterunek policji. Nie mogłem marzyć o funkcjonariuszach będących na służbie, lecz przynajmniej ktoś zostawił

otwarte drzwi wejściowe. Wpierw musiałem minąć świecąca pustkami recepcję. Dalej znajdowały się bramki, których przeskoczenie nie stanowiło problemu. Posterunek nie był duży. Składał się z kilku pokoiów wypełnionych biurkami – drewnianymi, z głębokimi zadrapaniami. Rozglądałem się w poszukiwaniu kryjówki, gdzie mógłbym przeczekać goniące mnie zagrożenie.

Wbiegłem do pokoju znajdującego się najbliżej mnie i na pierwszy rzut oka nie znalazłem tam nic, co mogłoby mi pomóc. Kolejna przestrzeń, urządzona w ten sam sposób, co pozostała część budynku, nie zapewniłaby mi schronienia. Schronienia przed nimi.

Nie traciłem nadziei. W pokoju znajdowało się biurko, półki z dokumentacją, nieduże zamknięte okno i solidnie wyglądająca szafa. Nie zmieściłbym się pod biurkiem. Poza tym taka kryjówka była, szczerze mówiąc, marna. Byłoby mnie tam widać już na samym wejściu, bowiem biurko wychodziło na drzwi, przez które przed chwilą wszedłem.

Kolejny pomysł – szafa. Otworzyłem drewniane drzwiczki jakbym otwierał wrota do Narni. Jednak nie znajdowała się za nimi żadna magiczna kraina, ale co najwyżej – wątpliwej jakości kryjówka dla człowieka. Nie było czasu na przemyślenia, ani na poszukiwanie innego mebla codziennego użytku, który nadawałby się do przekształceń w tajną kryjówkę.

Miejsca w szafie była aż nadto. Nie musiałem wyjmować żadnych półek. Zmieściłem się w niej bez problemu. Gdy chciałem domknąć drugie skrzydło drzwiczek, coś je zablokowało. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale zahaczyłem nogawką od spodni o fragment mosiężnego kosza na śmieci, który stał obok szafy – mojego bunkra stanowiącego ochronę. Ochronę przed nimi.

Ale kto w ogóle stawiał mosiężny śmietnik w swoim gabinecie?! Jak na złość nie mogłem ściągnąć zaczepionego materiału z pojemnika na odpady. Zacząłem panikować, że mnie znajdą i zaciągną w miejsce znane tylko im. Widziałem ich twarze i za żadne skarby nie chciałyby się znowu z nimi spotkać.

Szarpałem za materiałz całych sił. Wkońcu usłyszałem trzask puszczejących szwów spodni. Oswobodziłem nogę i ulokowałem ją wewnątrz szafy, w której stałem już dobrych kilka sekund.

Znalazłem się w całkowitych ciemnościach. Na szczęście nie miałem klaustrofobii. Mój umysł pozostawał w dobrej formie, mimo ekstremalnych warunków. Słyszałem pojedyncze dźwięki dochodzące zza skrzydeł szafy. Ktoś wszedł do pomieszczenia. Skrzywienie zasłużonego parkietu przenikliwym piskiem docierało do najwrażliwszych części moich uszu. Hałas stawał się nieprzyjemny i powodował, że zaczynałem zgrzytać zębami. Nie mogłem jednak zdemaskować się z tak błędnego powodu.

Czekałem. Staralem się nie oddychać zbyt głośno. Zmęczenie spowodowane długą ucieczką dawało o sobie znać – moja klatka piersiowa unosiła się i opadała z ogromną prędkością. Nie mogłem jej uspokoić. Organizm dopominał się każdej, nawet najmniejszej cząstki tlenu znajdującej się we wdychanym powietrzu. Głowa bolała od zwiększonego ciśnienia, wywołanego nadmiernym wysiłkiem. Gdyby nie wszechobecna ciemność przed oczami, najpewniej zobaczyłbym mroczki, lecz to nie był czas na takie rozmyślania. Za wszelką cenę starałem się wykrzesać jeszcze odrobinę adrenaliny, która przywróciłaby prawidłowe funkcjonowanie mojego ciała.

Znowu usłyszałem hałas – coś znacznie głośniejszego od zwykłych kroków. Prześladowca najprawdopodobniej przewrócił drewniane biurko, pod którym początkowo chciałem się skryć. Gdybym wybrał tamtą kryjówkę, byłoby już po mnie. Nie oznaczało to jednak tego, że mogłem czuć się bezpiecznie. Zagrożenie wciąż istniało i zbliżało się do drzwi szafy. Poczulem czyjaś bliskość. Ich bliskość.

Puls przyspieszył, strach dawał o sobie znać. Nie miałem zbyt wiele czasu, by dogłębnie zastanowić się nad kolejnym posunięciem. Skrzydła szafy powoli ustępowały. Do środka wpadał coraz szerszy promień światła. Długie czarne palce zaczęły przesuwac się po drzwiach mebla w powolny i przerażający sposób. Paznokcie pozostawiały ślad w drewnie – wyznaczały tor, po którym dłoń prześladowcy się poruszała. To byli oni.

Bawili się moim cierpieniem. Mimo widocznej tylko jednej dłoni wiedziałem, że jest ich tam więcej. Czulem ich obecność. Nikt w życiu, kogo do tej pory poznałem, nie wytwarzał takiej aury. To była ich aura.

Jednym ruchem otworzyłem na oścież oba skrzydła szafy i pobiegłem przed siebie. Przed samą ścianą skręciłem w prawo, gdzie znajdowało się okno. Było zamknięte, lecz w obecnej sytuacji nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu. Miałem kilka metrów na rozbieg, ale postanowiłem zaryzykować i rzuciłem się w szklane objęcia szyby, która po kontakcie z moim ciałem rozprysła się na niezliczoną liczbę małych kawałeczków.

Przed skokiem zasłoniłem rękami twarz, co uratowało ją przed okaleczeniem. Nie uratowałem jednak swoich dłoni i przedramion. Wbiło się w nie mnóstwo niewielkich odłamków szkła. Krew ciekła drobnymi strużkami. Nie miałem czasu zastanawiac się nad doznanymi obrażeniami. Musiałem natychmiast ruszyć w dalszą drogę.

Poza drobnymi skaleczeniami i siniakami nic mi nie było – nie miałem żadnych złamań ani poważniejszych stłuczeń. Pokój, w którym się schowałem, znajdował się na parterze, tak więc odległość od okna do ziemi nie była duża. Upadek trochę zabolął, ale mogłem kontynuować ucieczkę. Ucieczkę przed nimi.

Zostawiłem za sobą małomiejski pejzaż, na rzecz pól i łąk. Drogę oświetlał mi jedynie księżyc w pełni, bez którego nie widziałbym niczego przed sobą i już dawno bym się zgubił. Wzrok zdążył przyzwyczać się do ciemności, jednak nie dawało mi to wielkiej przewagi. Prześladowcy wciąż podążali moim tropem. To byli oni.

Trawa stawała się gęsta i przynosiła ulgę dla stóp, wykończonych od biegu po twardym podłożu. Miękką ziemię stanowiła mniej bezpieczny grunt, jednak znacznie lżej stawiało się każdy kolejny krok. Może ścigającym mnie prześladowcom odechce się gonitwy po niestabilnym terenie? Myliłem się. Dźwięk poruszającej się za mną trawy był wyraźnie słyszalny.

Poruszałem się w coraz trudniejszych warunkach. Co chwila uderzałem poranionymi rękami o otaczającą mnie roślinność. Wciąż nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd zmierzam, jednak rozeznanie w terenie nie było możliwe. Przez nich.

Znajdowałem się w szczerym polu. Nagle moim oczom ukazała się samotna posiadłość, która musiała należeć do jakiejś rodziny rolników. Nikt inny przy zdrowych zmysłach nie osiadłby w takim miejscu. Iskierka nadziei zapłonęła, co dodało mi siły do dalszej wędrówki. Może ktoś mógłby mi wreszcie pomóc.

Wciąż za mną podążali. Stanowili nieokreślone zagrożenie. Nie miałem ochoty ich poznać. Nie trzeba być detektywem, by przewidzieć zamiary takich prześladowców. Na pewno nie byli ucieleśnieniem dobra. Przecież nikt nie ścigałby kogoś z taką zawziętością w samym środku niczego, gdyby miał pozytywne zamiary.

Nieznany budynek znajdował się coraz bliżej. Z każdym przebytym metrem ukazywało mi się więcej detali. Dostrzegałem kilka maszyn służących do uprawy i pielęgnacji pola. Domostwo było otoczone płotem, a należący do niego teren rozciągał się po horyzont.

Zostało już tylko kilka sekund, by dostać się na miejsce. Furtka była otwarta, co mogło oznaczać, że mieszkańcy przebywali w domu. Nie zauważyłem jednak żadnych oznak życia. Nie paliło się żadne światło. Dom wyglądał na opuszczony. Może wszyscy spali? Plan dnia ludzi żyjących na takim odludziu zazwyczaj wcześniej się kończy, lecz jeszcze wcześniej zaczyna. Musiałem więc zaryzykować i narazić się na ewentualny gniew rolników zamieszkujących tę posiadłość. Lepsze byłoby tłumaczenie się policji lub innym służbom z popełnionego czynu niż stanie i czekanie na to, co nadchodziło. Na nich.

Ruszyłem pędem ku budynkowi. Wyraźnie słyszałem dźwięki poruszającego się łańcucha znajdującego się na bramie wjazdowej. Gdy niemal zderzyłem się z drzwiami, odkryłem

kolejną dziwną rzecz. Wejście do domu stało otworem. Klamka z łatwością ustąpiła, kiedy na nią napałem. Ukazało mi się ciemne wnętrze, które długo nie było wietrzone. Lokatorzy najwidoczniej musieli opuścić swoje włości. Wydało mi się to dziwne, ponieważ pole otaczające posesję było zadbane i wciąż dawało urodzajne plony. Czas uciekał, a postój mógł mnie kosztować zbyt wiele.

Wszedłem do środka budynku. Wąski korytarz prowadził przez jego długość i co kawałek ukazywał kolejne pomieszczenia. Minałem kuchnię, salon i chyba sypialnię. Po lewej stronie na samym końcu znajdowały się schody na piętro, jednak udanie się na górę nie mogło przynieść niczego dobrego.

Prześladowcy właśnie wkroczyli do domu, o czym świadczył dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. Nie dawali mi żadnej taryfy ulgowej. Byłem bardzo zmęczony, a mięśnie moich nóg płonęły z wysiłku. Odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej, dlatego musiałem ruszyć dalej. Naprzeciwko schodów znajdowały się tylne drzwi, które prowadziły prosto na pole. Opuściłem budynek i znowu znalazłem się na otwartej przestrzeni, która w żaden sposób mnie nie chroniła. Nie chroniła przed nimi.

Powrót do budynku nie wchodził w grę. Prześladowcy na pewno pomyśleli, by zamknąć furtkę, przez którą się tutaj dostałem. Jedyne drzewo prowadziło więc przez pole. Cały obszar zasiewu przypominał wystające z ziemi badyły. Filmy przyzwyczyły nas do pięknych pól kukurydzy, jednak tym razem nie było tak malowniczo. Rośliny osiągały wielkość przeciętnego człowieka. Stawały się idealną zasłoną przed niebezpieczeństwem i jednocześnie stwarzały trudną do pokonania przeszkodę. Cienkie drewnianki co chwila chłostały mnie po twarzy. Na pewno będę miał niejedną ranę, jednak teraz nie było to największym problemem. Zbliżali się oni.

Nie mogłem już szybciej się przemieszczać. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, a pościg nie słabł. Mój mózg powoli godził się na to, co miało się wydarzyć. Konfrontacja z prześladowcami stawała się coraz bardziej realna. Jednak jeszcze nie teraz.

Roślinność częściowo zasłaniała mi widok. Nie mogłem ocenić odległości, która została do pokonania reszty pola. Ruch za mną był już bardzo blisko. Zbyt blisko. W końcu minąłem ostatni rząd posadzonych równo badyli i ukazała się przede mną otwarta przestrzeń. Starłem się utrzymać równy rytm biegu, jednak było mi coraz trudniej. Traciłem kontrolę nad oddechem. Do mózgu przestawała docierać potrzebna ilość tlenu. Powoli traciłem grunt pod nogami, a przed oczami zaczynał wirować świat. Mroczki latały w jedną i drugą stronę, co było jednoznaczne ze zbliżającą się utratą przytomności.

Upadłem, nie wiem nawet kiedy. Ostatnie co dostrzegłem, nim całkowicie pochłonął mnie mrok, to cienie kilku postaci, które pochylały się nade mną.

–Bardzo mi przykro. Nie udało się go uratować.

Kobieta łkała. Nie mogła złapać oddechu. Cały czas zalewała się łzami. Chusteczki podsuwane przez lekarza i jej męża nie nadążały za zbieraniem smutku, ulatniającego się w postaci łez.

– Panie doktorze, czy to pewne? – Mąż musiał się przekonać, czy wyrok, który zapadł jest ostateczny.

– Niestety tak. – Odziany w biały kitel mężczyzna o siwych włosach starał się brzmieć możliwie kojąco, jednak nic nie mogło załagodzić bólu po śmierci bliskiej osoby.

Doktor wiedział, że w żaden sposób nie pomoże kobiecie., Zanim opuścił salę, ostatni raz spojrzął na znajdującego się na szpitalnym łóżku młodego mężczyznę, który od wielu miesięcy przebywał w śpiączce.

Nie udało mu się – pomyślał ze smutkiem starszawy mężczyzna.

Śmierć dopadła kolejną niewinną istotę.



OSTATNIA PROSTA

Jarosław Adam Pankowski

Ciemność i chłód to parszywa kombinacja. Wzmacniają się nawzajem, łącząc w symbiotycznej relacji. Tworzą razem narośl, która powoli, choć systematycznie, porasta ciało człowieka, aż wreszcie pochłonie je w całości. Wystarczy wejść w czarną pleśń, pokrywającą świat pod nieobecność Słońca, aby tego doświadczyć. Przynajmniej tak to czułem. Zwłaszcza w takiej chwili jak ta, gdy trzeba było zdążyć do tej wstrętnej pracy. Wsiadłem z pustego autobusu, jedyny pasażer w porze hebanowej zgnilizny. Zegarek pokazywał 5:42. Zostało akurat tyle czasu, żeby przejść pustą ulicę, skręcić w lewo i dotrzeć

do budynku. Byle tylko odbić przepustkę na czas. W przeciwnym razie znowu będę musiał słuchać uwag o spełnianiu oczekiwań. Pewnie doszłaby też sugestia, że jeżeli się nie poprawię, to zawsze istnieje możliwość zakończenia współpracy ze mną. Padłoby wiele słów, a każde miałoby na celu pokazać, jak mało znaczę. Powoli ruszyłem przez zaspy śniegu. Metodycznie, krok za krokiem brnąłem przed siebie. Starąłem się nabrać tempa, przystanek powoli zostawał w tyle. Żółte światło lamp odbijało się od powierzchni. Blade refleksy wyznaczały ścieżkę do pokonania. Biały puch skrzypiał pod naciskiem butów.

Nie znoszę tej pracy, nie znoszę tej pracy, nie..., powtarzałem pod nosem jak mantrę. Narzekanie nie rozwiązywało problemów, ale na chwilę pozwalało zapomnieć o zmęczeniu, irytacji, poczuciu bycia traktowanym jak śmieć. W takich chwilach napływały myśli, z którymi zwykle nie chciałem się mierzyć. Czy powinienem postawić się szefowi, żeby wyznaczył mi bardziej ludzkie godziny pracy? Czy nie jest to najwyższy czas, żeby zmienić zajęcie na coś normalnego? Czy po prostu wkopałem się w tę sytuację i już do końca życia będę czuł się podle z tym, kim jestem? Czy ja po prostu zmarnowałem swoje życie? Każda myśl była kroplą. Powoli wlewały się do środka, w głębię. Formowały strużki, potem strumienie, wreszcie rwące rzeki. Wściekłą siłą przedzierały się przez tętnice, napędzały bicie serca ponad możliwości. Czasem uderzenie tej fali było trudne do wytrzymania, czasem taki wstrząs na kilka chwil odbierał mi wzrok. Tak bardzo nienawidziłem tej pracy.

Właśnie wtedy postawiłem jeden krok w złym miejscu. Nie zauważyłem śliskiego odcinka, na którym stopniały śnieg utworzył lodową taflę. O mały włos nie padłem do tyłu wprost na krawężnik. Nawet, gdy nie byłem już w niebezpieczeństwie, jeszcze przez kilka sekund starałem się dojść do siebie. Chyba dlatego, dopiero po chwili zobaczyłem niespodziewany kształt na środku chodnika. Nie miałem wątpliwości, dobrze wiedziałem co widzę, chociaż wydawało mi się to dziwne. Jakaś staruszka wyszła na spacer o tej porze? Stała może z 5 metrów ode mnie. Nie dość że niska, to jeszcze przygarbiona, chyba nie miała nawet półtora metra. Ciało kłębiło się pod starym płaszczem. Jedyne fioletowy beret pozwalał dostrzec, w którym miejscu znajduje się głowa, schowana w jednolitej masie ubrań. Kobieta w obu rękach trzymała stare, plastikowe torby wypełnione czymś niemal po brzegi. Zatrzymałem się tuż przed nią. Odwrócona do mnie plecami, trwała w bezruchu. Czekałem, przekonany, że zaraz ruszy przed siebie. Jednak była tam wciąż, niewzruszona, jakby na stałe przytwierdzona do ziemi.

Stare próchno będzie blokować przejście, pomyślałem. Bo wszyscy muszą się jej podporządkować. Przeszedłem pospiesznie obok kobiety, niemal szturchając ją bokiem.

Spojrzałem nerwowo na zegarek – zostało tylko 10 minut. Strach uderzył mnie potężnym ciosem, takim który wykręca wnętrzności. Nie miałem zamiaru tłumaczyć się ze spóźnienia. Podbiegłem szybko do zakrętu i na ostatniej prostej ruszyłem niemal sprintem. Ukradkiem tylko zerknąłem w kierunku jędzy. Stała w tym samym miejscu, znów odwrócona plecami. Musiała się obrócić, gdy ją mijałem. Tylko czemu dalej tam tak tkwiła? Nie miałem zresztą czasu zastanawiać się nad tym. Gnałem przed siebie, patrząc tym razem pod nogi, żeby uniknąć kolejnych lodowych pułapek. Nie chciałem już nawet sprawdzać, ile zostało czasu. Krok za krokiem, najszybciej jak mogłem, przebyłem następne kilkanaście metrów. W końcu podniosłem głowę. Spodziewałem się zobaczyć wejście do budynku. Zamiast tego dostrzegłem przystanek. Ten sam, na którym wysiadłem z autobusu.

Na początku nie mogłem w to uwierzyć. Zamknąłem oczy i wziąłem oddech. Żrący strumień pulsował w skroniach. Popatrzyłem jeszcze raz. Przystanek znajdował się tuż obok, droga do zakrętu była dopiero przede mną. Myśli latały po głowie. Stado pomysłów, każdy wrzeszczący jak wyjaśnić ten obraz, biło się w świadomości, próbując wyłonić najsensowniejszą odpowiedź. Wtedy odruchowo sprawdziłem godzinę – była 5:56. Wszystkie wątpliwości zostały zepchnięte w niepamięć. Bez zastanowienia ruszyłem pędem przed siebie. Nie obchodziło mnie, czy znowu trafię na ukryty kawałek lodu. Nie liczyło się nic, byle tylko zdążyć. Zimne powietrze wdzierało się do płuc, mięśnie zmuszone do nagłej pracy, stawiały opór. Biegłem najszybciej, jak tylko mogłem. Po drodze mignął znajomy kształt. Staruszka cały czas była w tym samym miejscu, odwrócona do mnie plecami. Nawet się za nią nie obejrzałem. Nie zwalniając skręciłem, ledwo utrzymałem równowagę. Mknąłem przez ostatni kawałek dystansu. Wysilek zamazywał mi obraz przed oczami. Co sekundę wszystko stawało się coraz bardziej mętne. Jeszcze tylko 10 metrów. Dyszałem. Jeszcze tylko 5 metrów. Z trudem połykałem hausty mroźnego wiatru. Jeszcze tylko chwila...

Znowu minąłem przystanek. Wiedziałem, że to ten sam, co przed chwilą. Zatrzymałem się. Łzy napłynęły mi do oczu. Zmęczony, padłem na kolana prosto w śniegową zaspę. Trwałem tak dłuższą chwilę, aż doszedłem do siebie. *Co się dzieje?! Co się, choroba, dzieje?!*, powtarzałem bezmyślnie. Spojrzałem na nadgarstek. Zegarek pokazywał 6:45. Niemożliwe, żeby minęło aż tyle czasu. Ślepa determinacja, która jeszcze przed chwilą mną kierowała, teraz zupełnie uleciała. Nie mogłem zrozumieć nic z tego, co się działo. Nawet nie szukałem już racjonalnego wyjaśnienia. Wiedziałem tylko, że muszę się stąd wydostać. Gdy opadł upór by zdążyć na czas, mogłem przeanalizować sytuację. Burza myśli przeszła gwałtownie przez moją głowę. Już wiedziałem. Tym razem postanowiłem iść w przeciwną

stronę. Gdziekolwiek, tylko nie tą samą drogą co wcześniej. Odrobina nadziei dodała mi sił. Ruszyłem pewniejszym krokiem.

Ulica tutaj była dużo dłuższa niż na znanym mi odcinku. Nie byłem nawet pewien, czy zawsze taka była. W mroku nocy wszystko wydawało się odmienne od tego, co pamiętałem. Kształty wydłużały się, odległości zmieniały, kąty nachylały. Różnice nie były na tyle drastyczne, by wywołać zdziwienie, ale na tyle dostrzegalne, by odezwać się echem z tyłu głowy. Nie wiem, jak długo błąkałem się dookoła. Przechodziłem przez uliczki i wielkie place, osiedla z szeregami bloków, parki i skwery. Mimo tego nie spotkałem drugiego człowieka. Wszędzie było pusto, światła w oknach zgaszone.

W końcu trafiłem na jakieś skrzyżowanie. Tak jak wszędzie dotąd sygnalizacja zdawała się nie działać. Czekałem przez chwilę. Patrzyłem i nasłuchiwałem. Panowała cisza. Żadnego samochodu, zero przechodniów. Byłem całkiem sam. Zegarek wciąż pokazywał 6:45. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie chodnik tonął w mroku, z dala od świateł lamp. Niepewnie przekroczyłem próg ciemność. Posuwałem się naprzód niemal po omacku. Wreszcie w oddali zobaczyłem iluminację. Ruszyłem ostrożnie w jej kierunku. Wychodząc z cienia prosto w blask, rozejrzałem się dookoła. Staruszka w purpurowym berecie stała niedaleko mnie. Byłem na zakręcie, na tym samym zakręcie, przez który przebiegłem już dwukrotnie.

Nie mogłem już zebrać się na płacz. Nawet nie chciałem. Emocje, które zawsze we mnie bulgotały, zawsze pchały mnie do biegu i poszukiwań, teraz zniknęły bez śladu. Skupiłem wzrok na kobiecie. Cały czas odwrócona plecami do mnie. Zrozumiałem, że nie ma innej drogi. To ona kotwiczyła wszystko dookoła siebie. Nie mogłem od tego uciec. Podszedłem do niej powoli.

– Przepraszam... – powiedziałem nieśmiało.

Poczułem się trochę głupio, zaczynając w ten sposób. Wydawało się to infantylne. Zwłaszcza, gdy pomyślę o wszystkim, czego dziś doświadczyłem.

Kobieta nie zareagowała. Nawet nie drgnęła, nie wydała żadnego dźwięku. Wyciągnąłem rękę w jej stronę. Chciałem delikatnie dotknąć jej ramienia, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę. Nagle poczułem, że jeżeli zbliżę dłoń jeszcze trochę, to mogę już nigdy nie zdołać jej cofnąć. Jakby jakaś siła przyciągała wszystko z niezwykłą mocą w stronę staruchy. Wokół dało się poczuć dziwną aurę ciężkości. Jakby powietrze naciskało na człowieka. Jakby chciało go zgnieść. Rzuciłem okiem na zegarek. Była 12:26, choć wciąż panowały ciemności. Może dzień już minął i zaczęła się kolejna noc? Nie było innego wyjścia. Musiałem spojrzeć jej prosto w twarz. Spojrzeć prosto w twarz tej istoty. Ruszyłem niepewnym krokiem.

Staralem się obejść kobietę dookoła. Okrążając ją widziałem jednak ten sam obraz odwróconej staruszki. Ani razu nie zobaczyłem choćby krawędzi jej kurtki, nigdzie nie było widać choćby urywka jej twarzy. Jakby miała tylko jedną stronę. Zegarek pokazywał 3:14. Wciąż patrzyłem na nią z tyłu, nigdy z boku, nigdy od przodu. Przyspieszyłem, najpierw w trucht, a potem w bieg. Wciąż ten sam widok. Była 10:29. Nie pamiętałem, ile razy już ją okrążyłem. Nie wiedziałem nawet, czy okrążyłem ją choć raz. Wskazówki kręciły się jak szalone. Cały obraz zmieszał się ze sobą. Ogrom bezkształtnych kolorów uderzał mnie w oczy. Biegłem. Przez chaos przebijały się tylko jakieś głosy dochodzące oddali.

- Dzwoncie po pogotowie, ktoś tu leży!
- Walnął prosto w krawężnik.
- Uwaga na krew!
- Czy on oddycha?!
- Biedak, chyba nie był na to gotowy...



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY



MAGAZYN
BIAŁY KRUK



Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

